

Czy Himmler wierzył w czary?

Heinrich Himmler, niewysoki mężczyzna o wyglądzie dobrodusznego referenta, należał niewątpliwie do ścisłego kręgu najbliższych współpracowników Adolfa Hitlera. Często określany był też jako najpotężniejszy satrapa i wódz czarnych pretorianów. Sam o sobie sądził między innymi, że jest potomkiem jednego z protoplastów Germanii; podziwiał też dokonania króla niemieckiego Henryka I, a także twórcy imperium mongolskiego - Czyngis - chana. Wierzył, że ma misję dziejową do spełnienia - poszerzenia „Lebensarumu” czyli przestrzeni życiowej dla Niemców, głównie poprzez eliminację narodów Europy Środkowej i Wschodniej... Jego pseudonaukowe wywody na temat wyższości rasy do dzisiaj budzą grozę. Zamierzał na przykład wyhodować nordycką nadrasę człowieka, i utworzył do tego celu „Lebensborn” tzn. Stowarzyszenie Opiekuńcze „Źródło Życia”.

„Być czymś więcej niż się wydaje, wiedzieć wszystko o wszystkich, nasza

krew” - to była główna dewiza Himmlera. Będąc wizjonerem twierdził, że „SS będzie zakonem, który ślubować będzie wierność Führerowi”. Jako jego Wielki Mistrz przekształcał apele SS w uroczystości kultowe. Siedzibą Czarnego Zakonu obrał zamek Wewelsburg w Westfalii. Preferował powrót do źródeł surowego neopogaństwa, tworząc między innymi specyficzne „cywilne chrzty” dzieci wyższych oficerów SS, czy nakazując czczenie „najbardziej niemieckiego” drzewa - dębu.



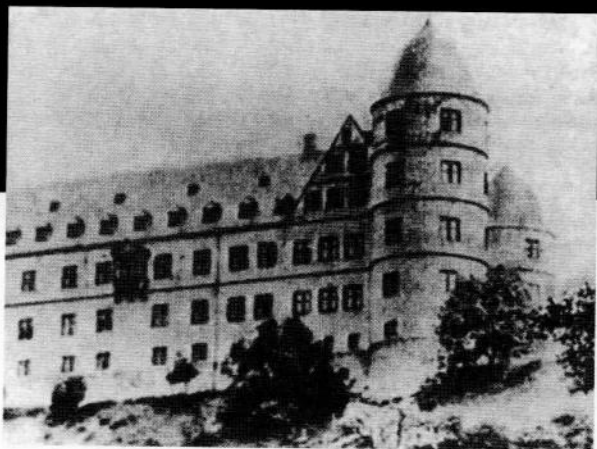
Himmler na seansie radiestezyjnym

Okultyzm

Temat zainteresowania Himmlera okultyzmem powrócił z racji odnalezienia w 1998 r. w Sławie resztek dokumentacji z ponad stutysięcznego zbioru Wydziału VII ds. Ideologii Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Sławie (o czym pisałem w poprzednich numerach Exploratora). Część ocalałych kart dotyczyła bowiem egzorcystów, duchowieństwa oraz charakterystyki kościołów, w tym katolickiego. Już w 1945 roku, po pobieżnej analizie, archiwiści poznańscy pod kierunkiem doktora Ludwika Gocla zauważyli na średniowiecznych dokumentach zaznaczenia fragmentów tekstów o... sposobach torturowania i pozbawiania życia ludzi! Opierano się głównie na działalności Inkwizycji. Himmler doszukiwał się w działaniach inkwizytorów próby eksterminacji Niemiec. Tym bardziej, że jego pra-pra...babka miała spłonąć za czary na stosie! Przypomnijmy, że Święte Oficjum narodziło się w XII w., a rozwinęło np. w Niemczech i Austrii



Scena z procesu czarownic w Zielonej Górze w latach 1663-65 na miejskim banknocie zastępczym o nominale 75 pf. z 1922 r.



Zamek Wewelsburg

w następnym stuleciu. W 1252 roku, za pontyfikatu papieża Innocentego IV, usankcjonowano używanie tortur w procesach dowodowych np. w sprawach o stosunki z diabłem i magię. Dotyczyło to szczególnie kobiet. Najwięcej procesów w Niemczech odbyło się w latach 1484-92, za pontyfikatu papieża Innocentego VIII. W czasie wojny trzydziestoletniej (1618-48) skazano w tym państwie na śmierć około 20 tys. czarownic.

W poszukiwaniu dowodów

Po dojściu Hitlera do władzy pracownicy SS penetrowali archiwa i biblioteki, poszukując adnotacji o procesach czarownic. Zadanie to opatrzono kryptonimem „Zadanie Specjalne - H” tj. Hexe, czyli dotyczące czarownic. Na kilkudziesięciu tysiącach stron zgromadzono dowody przesładowań kobiet na terenie Niemiec i reszty świata. Prawdopodobnie poprzez to Reichsführer chciał zgromadzić materiały przesądzające o przyczynach zagłady starogermańskiej kultury ludowej. Kompletujący informacje dyskretnie przeszukiwali też nietypowe zasoby archiwalne największych uczelni na terenie III Rzeszy. Już wówczas co odważniejsi historycy zaczęli wątpić w sens całego przedsięwzięcia. Tym niemniej Himmler chciał je niewątpliwie wrzucić w tryby przyszłych działań propagandy nazistowskiej.

Badania pseudonaukowe nad czarownicami zakończyły się fiaskiem. Sztab „fachowców” nie wydał ani jednej pracy drukiem. Usatysfakcjonowany był może jedynie sam Himmler, gdyż według ustaleń dotyczących jego rodziny, w 1629 roku spalono na stosie, jako czarownicę, Margareth Himbler a nie Himmler...

Artur Pacyga

Ważniejsze źródła: Hans Michael Kloth „Reichsführer i czarownice” - „Der Spiegel” z 10.01.2000 - przedruk „Forum” nr 12 (1807) z 19 III 2000; Marian Podkościelny - „W kregu Hitlera”, Warszawa 1975.

„Rasse

ist die letzte Gültigkeit unseres Wesens, der letzte Grund unserer Existenz, der uns in allen Erscheinungen unserer Wirklichkeit wesentlich bestimmt; in unserer sittlichen Haltung, in unserem vernunftgemäßen Bewußtsein und in einem allertiefsten Sinne, in unserem religiösen Glauben. Rasse ist die Seele des Menschen, die Substanz, aus der er wirkt, denkt, glaubt und sich verpflichtet. Sie ist die eigentümliche Gebundenheit unseres Wesens, eine sittl.geistige und religiöse Bestimmtheit, die uns von jeder anderen Art unterscheidet, u.in der Gemeinsamkeit derselben in der Gemeinschaft des Volkes an die eigene Art bindet“.

A.Baehr, Kathol.Solidarität u.Volksgemeinschaft
Berlin-Wien 1939, S. 53

„Rasa - jest najwyższą wartością naszej istoty, ostatnią podstawą naszej egzystencji, która określa nas istotnie we wszystkich zjawiskach naszej rzeczywistości; w naszej postawie moralnej, w naszej racjonalnej świadomości, w najgłębszym sposobie myślenia, w naszej wierze religijnej.

Rasa jest duszą człowieka, substancją, dzięki której człowiek działa, myśli, wierzy, zobowiązuje się. Jest ona szczególną zależnością naszego istnienia, moralno-duchową oraz religijną pewnością, która odróżnia nas od każdego innego rodzaju i w tej powszechności wspólnoty narodu (ludu) wiąże nas własnym gatunkiem”.

A. Baer, Katolicki Związek Narodu i Solidarności, Berlin - Wiedeń 1939, str. 53. - jest to jedna z wielu adnotacji odnalezionych w Ślawie w 1998 r. i przekazana do Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu.

Międzyrzecki Rejon Umocniony

dyskusja autorów

Jednym z najbardziej znanych Autorów, zajmujących się eksploracją, jest dziennikarz poznańskiego „Głosu Wielkopolskiego”, twórca wielu obszernych publikacji na ten temat (szczegóły w ofercie Hisco na ostatnich stronach Exploratora) - Leszek Adamczewski.

Natomiast jednym z najbardziej kompetentnych badaczy, z pewnością mniej znanych, lecz za to bardzo dobrze zorientowanych, zwłaszcza w tematyce MRU, jest mieszkający we Wrocławiu Józef Piszczek.

W związku z tym, iż na początku ubiegłego roku „Głos Wielkopolski” wydrukował artykuły Leszka Adamczewskiego o wspólnym tytule „Tunel nad jeziorem”, za pośrednictwem redakcji doszło do wymiany listów między tymi badaczami. Dyskusja ta zawierała bardzo ciekawe wątki, i dlatego pozwalamy ją sobie Państwu zaprezentować, rozpoczynając od przedrukowania fragmentów dyskusyjnych artykułów.

„Głos Wielkopolski”

Chyba wszyscy, którzy interesują się losami dóbr kultury, zaginionymi podczas drugiej wojny światowej, zgodni są co do tego, że część przedmiotów z długiej listy poszukiwanych dzieł i archiwaliów nadal leży w dobrze zamaskowanych skrytkach. Natrafienie na nie jest dzisiaj najczęściej dziełem przypadku, chociaż można szukać wcale nie za pomocą łopaty, koparki, wykrywacza metalu czy georadaru, ale również analizując i weryfikując wspomnienia i relacje świadków historii. I takie właśnie wspomnienia zaprowadziły nas w okolice Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry-Warty, zwanego dzisiaj Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym. W okolice, które jednocześnie były jednym ze skarbców Trzeciej Rzeszy...

Boryszyn. Mała wioska leżąca w cieniu potężnych fortyfikacji Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Trzy lata temu, w drugiej połowie lutego 1999 roku byłem w jej okolicach, towarzysząc Romanowi Cybichowskiemu z Poznania, który prawie całą drugą wojnę światową spędził na robotach przymusowych w pobliskiej wiosce Hochwalde, czyli dzisiejszej Wysokiej.

- Którejś niedzieli w 1943 lub 1944 roku – wspominał wówczas Cybichowski – wybrałem się do Burschen, jak wtedy nazywał się Boryszyn. Raptem kilka kilometrów z Hochwalde. Na skraju wioski był obóz, gdzie mieszkali Polacy zatrudnieni w

niemieckiej firmie Kunz Co. Hoch und Tiefbau, o ile dobrze zapamiętałem tę nazwę. Pracujących tu Polaków nadzorowali funkcjonariusze Organizacji Todta. W obozie przypadkowo spotkałem kilku poznaniaków. I od nich dowiedziałem się, że od mniej więcej roku budują tunel w skarpie nad jeziorem Paklicko Wielkie. A ściślej – na zachodnim brzegu jeziora. Na pewno mówił mi o tym starszy mężczyzna, z zawodu chyba stolarz, o nazwisku Jankowski. Pochodził on z Murowanej Gośliny koło Poznania i w Boryszynie wykonywał szalunki.

Powyższe wspomnienia Cybichowskiego cytowałem już w „Głosie” trzy lata wcześniej, a później umieściłem w wydanej w 1988 roku książce „Konwój do Paradies”. Wracam do nich, bo sprawa ma swój ciąg dalszy. Właśnie ten fragment wspomnień Cybichowskiego może stanowić klucz do rozwiązania tajemnicy podmiędzyrzeckiego skarbcza Rzeszy. Skarbca, gdzie – na co wiele wskazuje – w zamaskowanych w styczniu 1945 roku magazynach depozytowych, a przynajmniej jednym takim magazynie, od ponad pół wieku leżą ukryte przez Niemców dobra kultury.

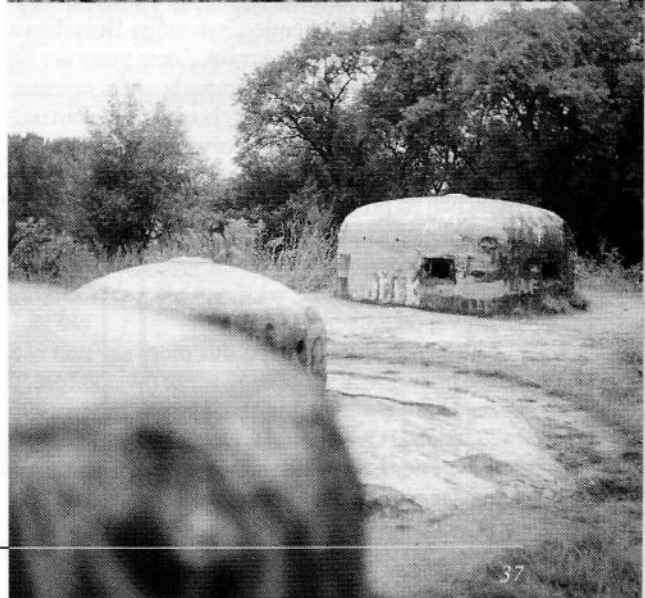
W lutym 1996 roku Roman Cybichowski błędnie trafił w miejsce gdzie pięćdziesiąt dwa, lub pięćdziesiąt trzy lata wcześniej rozmawiał z Jankowskim z Murowanej Gośliny.

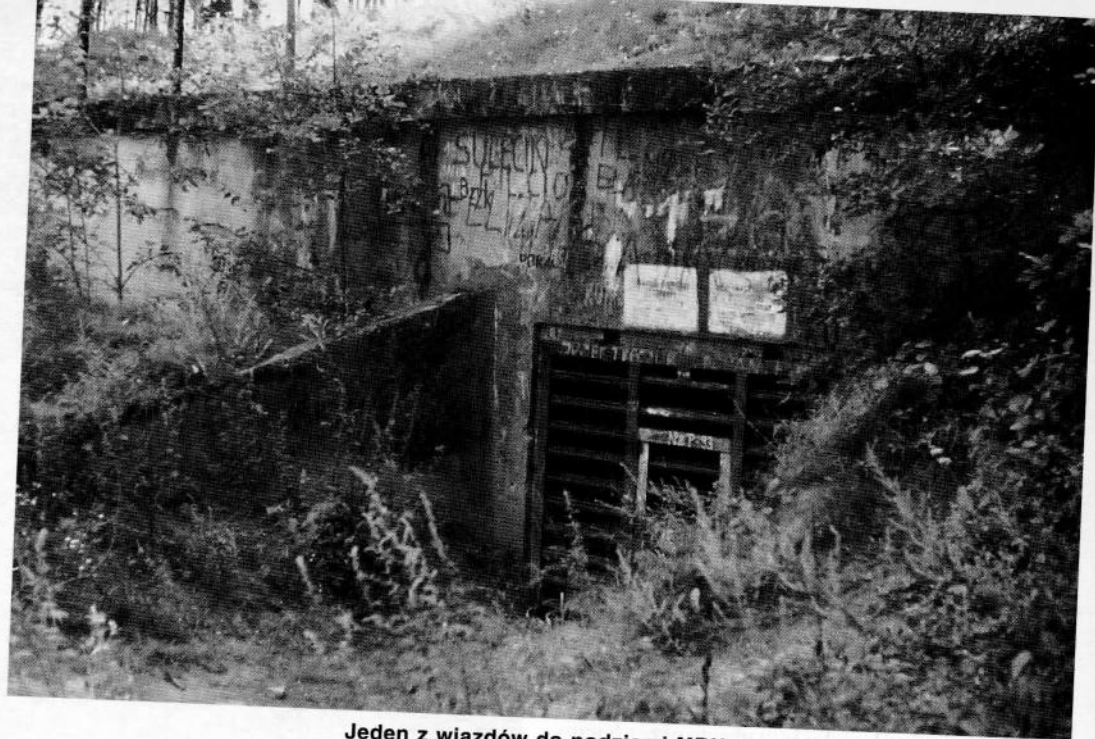
- Tu nie było żadnego obozu – powiedział towarzysząc nam eksplorator Paweł Piątkiewicz, który od lat zajmuje się penetracją obiektów MRU.

Rzeczywiście, na dostępnych nam mapach i planach nie zaznaczono obozu pracy, mającego rzekomo znajdować się na północno – zachodnim skraju Boryszyna. Natomiast takowy obóz zaznaczony był z drugiej strony wioski. Mieszkali tam robotnicy, od połowy 1944 roku zatrudnieni przy rozbudowie południowego krańca systemu podziemnego fortyfikacji międzyrzeckich, zwanego „Pętlą Boryszyńską”.

- Tu na pewno był obóz – upierał się Roman Cybichowski, wskazując na pole z prawej strony szosy z Boryszyna do Zarzyna – W tym miejscu stały drewniane baraki na podmurówkach. I tu rozmawiałem z poznaniakami zatrudnionymi w firmie Kunz Co. Hoch und Tiefbau.

Wspomnienia Cybichowskiego są o tyle ważne, że wskazują one na fakt budowy tunelu (w znaczeniu jakiegoś obiektu podziemnego) w czasie, gdy Niemcy nie prowadzili tu żadnych robót przy rozbudowie fortyfikacji międzyrzeckich. Te bowiem rozpoczęto dopiero latem 1944 roku i koncentrowały się głównie w rejonie wspomnianej „Pętli Boryszyńskiej”, a więc również w pobliżu dawnego Burschen, ale jednak w innym rejonie okolic wioski. Tymczasem Cybichowski rozmawiał z Jankowskim w 1943 lub 1944 roku i ten mówił mu, że tunel ów





Jeden z wjazdów do podziemi MRU.

budują od roku. A zatem być może już od 1942...

I to by się zgadzało, gdy zważy się, że z okupowanego Poznania pierwsze transporty najcenniejszych eksponatów z Kaiser-Friedrich-Museum i archiwaliów z „Reichsaichiv in Posen” wywieziono w okolice ówczesnego Maseritz (Międzyrzecz) w drugiej połowie 1943 roku.

Niedawno dotarły do mnie informacje potwierdzające i jednocześnie rozszerzające wspomnienia Cybichowskiego.

- Któregoś dnia – mówił mieszkający w Boryszynie Robert Jurga, jeden z najlepszych w Europie znawców fortyfikacji – zauważyłem starszego mężczyznę, który fotografował różne obiekty we wsi i jej okolicach. Podszedłem do niego, przedstawiłem się i wdąłem w rozmowę.

Był to obywatel Niemiec, syn wójta Burschen z okresu drugiej wojny światowej. Zrazu rozmowa się nie kleiła, Niemiec traktował mnie bowiem nieufnie. Nie chciał wiele powiedzieć, chociaż mówiłem mu, że interesuje mnie historia Boryszyna i okolic. Ale wkrótce przysłał mi z Niemiec kalendarium dziejów Burschen na przestrzeni wieków, a w następnej korespondencji kserokopię powiększonej niemieckiej mapy sztabowej tych okolic. Zaznaczył na niej lokalizację baraków obozu, o którym piszesz w książce „Konwój do Paradies”.

I Jurga pokazuje tę mapę. Już pierwszy rzut oka na nią pozwala mi skonstatować, że ów obóz pracy zaznaczony został w miejscu, które w lutym 1996 roku wskazał Cybichowski. Dokładnie tam.

- Ów Niemiec – dodaje Jurga – napisał też, że wiosną tego roku planuje ponownie odwiedzić Pol-

skę i chce się ze mną spotkać. Być może powie coś więcej. Wszak podczas wojny miał kilkanaście lat, a chłopcy w tym wieku interesują się takimi sprawami, jak choćby budowa jakiegoś tunelu. Może zapamiętał tylko rejon okolic Boryszyna, gdzie w latach 1942-43 prowadzono jakieś prace (...).

Redakcyjnym Oplem jedziemy ponownie z Wysokiej do Boryszyna. Tuż przy drodze, po lewej stronie, mijamy wielki schron bojowy. W centrum wioski skręcamy w prawo na drogę w kierunku Żarzyńska. Kilkaset metrów za ostatnimi zabudowaniami Boryszyna stajemy.

- Gdzie drążyli tunel? – chce wiedzieć towarzyszący mi Paweł Piątkiewicz.

- Tunelu nie widziałem, ale do pracy szli oni w tym kierunku – i pokazuje na jezioro Paklicko Małe. Grzeźnąc po kostki w błocie próbujemy znaleźć jakieś ślady po obozie sprzed ponad pół wieku. Zarośnięte krzakami resztki murowanych fundamentów świadczą, że Cybichowskiego nie poniosła fantazja. I że na mapie jednak nie zaznaczono wszystkich obozów.

Jeśli zatem był tu obóz, to gdzieś w pobliżu powinien znajdować się tunel, który robotnicy z firmy Kunz Co. Hoch und Tiefbau drążyli co najmniej od 1943 roku, a więc na długo przedtem, zanim zapadła decyzja o rozbudowie umocnień międzyrzeckich. Gdzie jest ten tunel?

W skarpie na wschodnim brzegu jeziora Paklicko Małe, tuż koło Wysokiej, zachowały się dwa połączone tunele, służące za schron przeciwlotniczy. Czy w tym rejonie jest ich więcej? To możliwe. Co więcej, ponoć właśnie tu, w pobliżu Boryszyna i Wysokiej,

Niemcy mieli urządzić niektóre z czterech podziemnych komór specjalnych, przeznaczonych na dzieła sztuki i dokumenty ewakuowane z zagrożonego bombardowaniami alianckimi Poznania, z Kaiser-Friedrich-Museum i Reichsarchiv in Posen...

Tyle zawarł w swoich artykułach Leszek Adamczewski.

Teraz głos ma Józef Piszczek

W liście do „Exploratora” pisze on:

Pragnę poinformować, że „Głos Wielkopolski” z lutego 1999 roku (artykuł redaktora Adamczewskiego) podał informacje świadków, którzy mówili o budowaniu nie istniejącego dzisiaj tunelu w MRU. Informacja o istnieniu tego tunelu (i nie tylko tego) zamieszczona była w Exploratorze nr 5 dwa lata temu. Pisałem, że „plan budowy przewidywał wybudowanie m.in. w rejonie Wysokiej dwóch wjazdów i w rejonie Staropola jednego wjazdu”.

Teren budowy tunelu wskazany przez Cybichowskiego jest zgodny z planowanym miejscem budowy wjazdów do podziemi MRU.

Leszek Adamczewski powołując się na niemieckie dokumenty pisze, że w rejonie MRU wybudowano cztery specjalne magazyny podziemne na eksponaty muzealne. Dziwi mnie ta informacja. Po co budować specjalne, głęboko pod ziemią, komory (był to okres wielkiego deficytu siły roboczej – fizycznej i inżynierskiej, cementu, stali) jeżeli było już wybudowane kilkadziesiąt komór (na samej pętli boryszyńskiej kilkanaście) bardzo głęboko w ziemi i z możliwością dowozu eksponatów kolejką. W Exploratorze napisałem tak: „Bardzo duży i ciekawy obiekt podziemny to Pętla Boryszyńska. Rozmieszczenie i ilość istniejących komór nie zgadza się z rozmieszczeniem i ilością na planie budowy. Obecnie jest ich mniej”.

W takich to komorach, tylko dobrze zamaskowanych (a może źle, bo udało się je odkryć) Rosjanie znaleźli ukryte skarby kultury...

Na ten list odpowiedział Leszek Adamczewski

Uważnie przeczytałem list Józefa Piszczyka, oraz to co napisał on w piątym numerze „Exploratora”. Jeśli masz z tym człowiekiem jakiś kontakt, to przekaż mu, że jak się o czymś pisze, i to w tonie kategorycznym, to trzeba się na tym znać. Ale do rzeczy.

Tunel, o którego budowie wspomniał Roman Cybichowski, znajduje się (faktycznie lub rzekomo) około trzech kilometrów w linii prostej do systemu podziemnego MRU i musiałyby doń wieść pod dnem jeziora Paklicko Małe. Cybichowski wspomniał, że jest ono bardzo głębokie. O tym wszystkim pisałem już w „Głosie Wielkopolskim” zimą 1996 roku i powtórzyłem w książce „Konwój do Paradise” na stronach 52-53 i 61-62.

Pan Piszczek, podobnie zresztą jak i wielu innych autorów o MRU, tak zwanej Pętli Boryszyńskiej przypisuje znaczenie, jakiego ona nigdy nie miała i nie miała mieć. Zresztą ta pętla w kształcie nam dziś znanym powstała dopiero w drugiej połowie 1944 roku, gdy w końcu lipca tegoż roku, po pięcioletniej przerwie, rozpoczęto kontynuować roboty przy rozbudowie fortyfikacji międzyrzeckich. Prace inwestycyjne koncentrowały się wtedy głównie właśnie na Pętli Boryszyńskiej. Jak można zobaczyć gołym okiem nie tylko w podziemiach, ale także na powierzchni, prac tych nigdy nie zakończono. I plany nijak mają się do rzeczywistości.

Tunel, o którym wspominał Cybichowski, budowano w 1942 lub 1943 roku, a więc w czasie, gdy Niemcy nie prowadzili żadnych prac związanych z rozbudową MRU, koncentrując się tylko na drobnych konserwacjach. Wprawdzie w archiwach dawnej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce znajdzie się relacje byłych robotników przymusowych o robotach prowadzonych w latach 1943-44, ale koncentrowały się one koło Hochwalde, czyli dzisiejszej Wysokiej, w miejscu wjazdu do systemu podziemnego MRU i związane były z adaptacją fragmentów podziemi do celów produkcyjnych. Zakład Daimlera regenerował tu silniki lotnicze.

Fragment niemieckiego dokumentu wykazujące podziemne pomieszczenia twierdzy, możliwe do wykorzystania dla potrzeb produkcji zbrojeniowej.

9.)	Hohlgangsystem im Oder - Warthe Bogen	32,5 km. Hohlg.	Belegt vom Heer 15 416			4 Räume vom Geheim. Staatsarchiv und Kaiser- Friedrich Museum Posen belegt.				
9a.)	Pz.-Werke Oder- Warthe Bogen	20	12*	758	2 113	7	145	1475	1	13



Zdjęcie lotnicze Panzerwerku 717.

Jeśli pan Piszczek – co wynika z listu zamieszczonego w „Exploratorze” – poważnie traktuje relacje, że „tunel ciągnie się 42 km z małymi przerwami w stronę Skwierzyny i że są takie komory, w których na pewno jeszcze nikt nie był”, to nie ma nawet co z nim dyskutować. A tak na marginesie, co znaczy „z małymi przerwami”? Znając dobrze te tereny, domyślałem się o czym mogła być mowa w relacji atochtona z Łagowa, jeśli w ogóle ktoś tego nie zmyślił. A wojskowi penetrujący te tereny wkrótce po wojnie zmyślali na potęgę, często powtarzając w swych raportach krążące po okolicach pogłoski, w których było pięć procent prawdy i reszta fantazji...

Leszek Adamczewski

I ponownie list od Józefa Piszczka:

„Nie chcem, ale muszem” napisać, aby nie pozostała bez wyjaśnienia negatywna ocena moich wiadomości o MRU, jaką wystawił redaktor Adamczewski. Pisząc krótki list o tunelach MRU miałem nadzieję, że zostaną potraktowane tak samo życzliwie jak Cybichowski i w ten sposób ułatwię znalezienie tych tuneli. Redaktor Adamczewski nie podważył ani jednego zdania, które napisałem, pomimo tego złośliwie i agresywnie zaatakował moją osobę. Domyślałem się, że przyczyną takiego ataku było naruszenie dogmatu w sprawie tuneli MRU, ustalonego przez redaktora Adamczewskiego. Jeżeli już zostałem potępiony, to mogę spokojnie pisać dalej o tym dogmacie, bo o przebaczenie nie proszę.

A więc wyjaśniam

Redaktor Adamczewski nie napisał do czego ma zastrzeżenia: do 42 km tuneli, małych przerw, czy do komór w których nikt nie był. Do małych przerw nie może mieć zastrzeżeń bo nie rozumie co to są „małe przerwy”. A jeśli chodzi o długość tuneli – z Wysokiej do Skwierzyny jest trzydzieści i parę kilometrów. Odległości ja nie ustalałem, tylko powtórzyłem relację mieszkańca Łagowa.

A może chodzi o komory? Na odcinku Wysoka – Skwierzyna jest dużo podziemnych komór z korytarzami, które to komory posiadają 1-, 2-, 3-, a nawet 4- kondygnacje w głąb ziemi. Komory widać i na to są dokumenty. A Werkgruppe „Ludendorff” to gdzie jest? Koło Świebodzina? Nie ma się co dziwić, że redaktor Adamczewski nie chce dyskutować, bo nie ma nic do powiedzenia!

Ja wiem, że redaktor Adamczewski chodził po brzegu jeziora Paklicko Małe, a w gazecie opisał, że to wszystko widział nad brzegiem jeziora Paklicko Wielkie. Mała pomyłka, nawet nie trzeba było za nią przeproszać czytelników...

Mam wielkie uznanie dla Cybichowskiego za upór w poszukiwaniu obozu i tunelu. Cybichowski mieszkał i pracował całą wojnę u „bauera” w Hochwalde, o tunelach słyszał od innego robotnika mieszkającego w obozie koło Boryszyna. Pomimo tego zgadzam się, że jest świadkiem wiarygodnym. Nie mogę zrozumieć dlaczego mieszkaniec Łagowa, który w czasie wojny pracował w tunelach jako elektryk i sam opowiadał o tym, co na własne oczy widział, nie może być wiarygodny dla redaktora Adamczewskiego. Przecież redaktor Adamczewski

nie podważał faktami lub dokumentami wiarygodności elektryka, ani jego informacji. Dokumenty świadczą natomiast na korzyść elektryka.

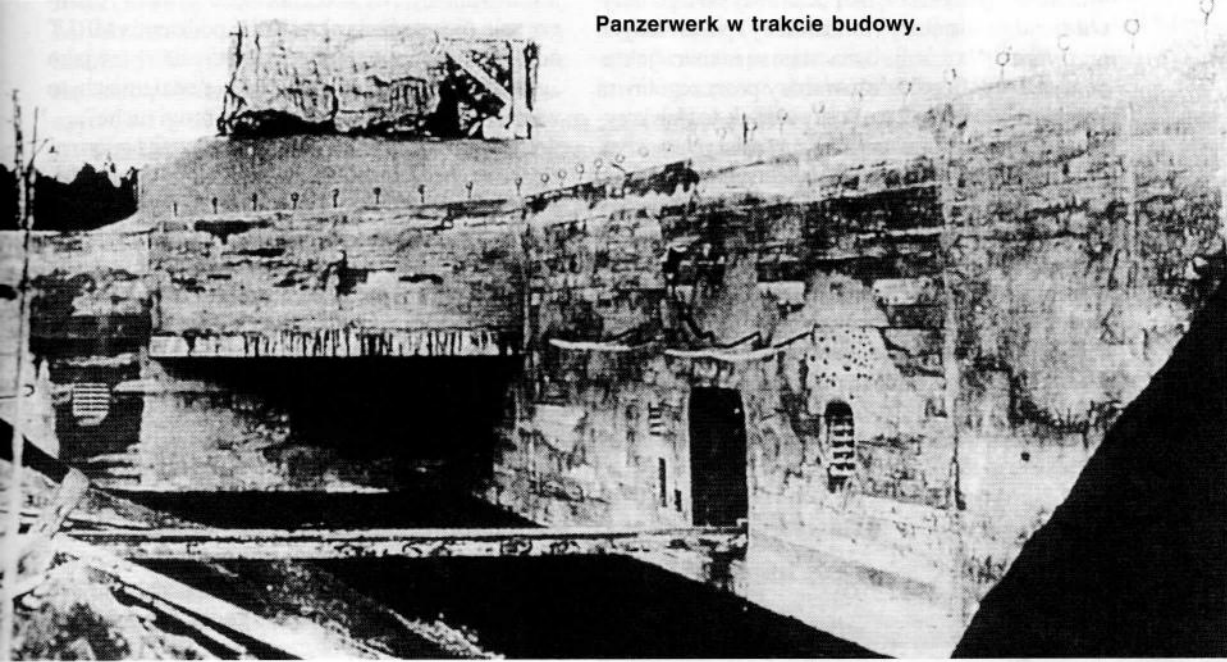
Myślę też, że redaktor Adamczewski uważa Janusza Miniewicza za autorytet w sprawach MRU, bo korzystał z jego opracowania przy pisaniu artykułów. Ja też wierzę w wiarygodność i rzetelność prac Janusza Miniewicza, bo sam osobiście widziałem jak sporządzał on szkice, rysunki i plany bezpośrednio w terenie, w latach 70-tych. Dlatego posłużyć się tymi informacjami o MRU, które znajdują się w jego opracowaniu.

Odcinki skrzydłowe „Północny” i „Południowy” miały się składać z elementów Frontu Ufortyfikowanego w różnym stopniu rozbudowy, tj. od samodzielnych Werków do grup warownych posiadających własną komunikację i wspierających baterii pancernych.

Grupy warowne – to zespół Werków skupionych, zwartych i rozproszonych, połączonych komunikacją podziemną, np. Ludendorff. Pierwszym zespołem obiektów podziemnych na OWB były korytarze grupy warownej na północ od młyna Stary Dworek, które rozpoczęto kopać w 1935 roku.

I co? Są podziemne tunele i komory na odcinku Wysoka – Skwierzyna, czy ich nie ma? A ile ich jest? O tym świadczy intensywność prowadzenia prac. Już 8.07.1939 r. wywiad donosił: „Prace fortyfikacyjne (między Skwierzyną a Międzyrzeczem) wykonane są również i przez oddziały wojskowe, ściągnięte pojedynczymi pułkami względnie batalionami z bezpośredniego przedpola i z głębi Rzeszy”.

A teraz inne źródła informacji i inny dokument. W październiku 1948 r. mjr Stepanienko doszedł tunelem do Bhf Otto i szedł dalej. Główny tunel (5x5m) około



Panzerwerk w trakcie budowy.

Samodzielne Werki

Z ostatniej kondygnacji (najniższej) prowadzić miał szyb zejściowy do koszar i magazynu amunicji, skąd wychodził korytarz komunikacyjny wiodący do następnych obiektów grupy, lub tzw. „główniej drogi ruchu” łączącej grupy. Werki rozproszone posiadały swój integralny system komunikacji łączący dzieła odosobnione z Kornwerke, który dopiero przez szyb schodzący na najniższy poziom łączył je z ogólnym systemem. Baterie pancerne miały być organizmem zbliżonym funkcjonalnie do grup warownych, z wydzielonym systemem komunikacji.

300 metrów za Bhf Otto skręca lekko w prawo, a po dalszych 700 m kończy się ścianką z cegieł.

Dosłownie tak napisał na planie: „Ścianka z cegieł”. 300 metrów na północ od Bhf Otto od tunelu głównego odchodzi w lewo inny tunel (3x3m) i dochodzi do PzW 740 i PzW 739. To nie są plotki, jak twierdzi redaktor Adamczewski. To jest narysowane na papierze i można sprawdzić w terenie.

MRU w rejonie Wysokiej

Czytam opisanie w innym z artykułów przez redaktora Adamczewskiego zwiedzanie MRU i oczom nie wierzę.

„Wślizgujemy się do tunelu przez dziurę w kracie(...)„Po kilkunastu minutach marszu docieramy do pierwszego podziemnego dworca”(…) „nigdzie jednak nie widać śladów prowadzonej w tym miejscu działalności produkcyjnej” i „wracamy”. Trzeba przyznać, że sposób wejścia do tunelu jest oryginalny, jak szczur – dziurą, czas zwiedzania wspaniały – kilkanaście minut, odcinek zwiedzania imponujący – doszli do Bhf. Spostrzeżenie godne ogłoszenia dogmatu: fabryki w MRU pięćdziesiąt pięć lat temu nie było!

A tak widział i opisał ten sam tunel mjr E. Dutkiewicz (ten „zmyślający na potęgę”) w październiku 1948 r. „Wejście do podziemi prowadzi żelbetowy korytarz wysokości 3 m, szerokości około 2,80 m; środkiem korytarza biegnie tor kolejki wąskotorowej. W miarę posuwania się w głąb korytarz rozszerza się do szerokości 4 m na głównym swoim szlaku. Po przejściu około 2 km znajduje się rozwidlenie głównych korytarzy, z których jeden prowadzi na północ, drugi w kierunku południowym. Począwszy od tego miejsca znajduje się ślady (fundamenty) po zabranych maszynach. Na ścianie oznaczone są numeracje stanowisk 1 – 340, odległość między poszczególnymi stanowiskami około 2 m. Posuwając się w głąb korytarza można zauważyć maskowanie dalszych maszyn. Były to maszyny o napędzie elektrycznym, na co wskazują ślady po zerwanych kablach doprowadzonych do poszczególnych stoisk maszyn, oraz szafka narzędzia. Wzdłuż sklepienia korytarza była instalacja oświetleniowa, a na ścianach i pod posadzką biegł kabel elektryczny, roboczy, do maszyn”.

Na szkicu oznaczono stanowiska nr 340 i nr 380 na wschodniej ścianie tunelu, między tunelem wjazdowym

i Bhf Gustaw. Natomiast na planie podziemi MRU wykonanym przez mjr. Stepanienko w październiku 1948r. napisane jest „FABRYKA” w następujących miejscach: przed Bhf Ludwig w tunelu wjazdowym, między tunelem wjazdowym i Bhf Emil, między Bhf Emil i Bhf Dora oraz za Bhf Dora. Komu wierzyć? Tym, który „zmyślali na potęgę” czy też wszytkowiedzącemu redaktorowi Adamczewskiemu?

Tunel w rejonie Jeziora Paklicko Małe wskazany przez Cybichowskiego

Nie pisałem, że wskazany tunel przebiegał pod dnem jeziora i że dochodził do „głównej drogi ruchu”. To są zmyślenia redaktora Adamczewskiego. Pisałem, że „plan budowy przewidywał wybudowanie m.in. w rejonie Wysokiej dwóch wjazdów” i że „teren tunelu wskazany przez R. Cybichowskiego jest zgodny z planowanym miejscem budowy wjazdów do podziemi MRU”. Wydawało mi się, że opis jest zrozumiały. Nie wiedziałem, że redaktor Adamczewski nie rozróżnia określenia „podziemia MRU” od określenia „tunel główny”, określane też jako „główna droga ruchu”. Kto był w podziemiach, to widział takie napisy: „Do głównej drogi ruchu”...

Cybichowski dobrze powtarzał usłyszana informację. Ja nie chciałem w liście wskazywać na planie miejsca, w którym ten tunel był drażony, bo pomyłka o 1 mm na mapie będzie w terenie powodować błąd około 50 m. Pisałem o rejonie i myślałem, że redaktor Adamczewski potraktuje moją informację tak samo jak informację Cybichowskiego i umożliwi mi omówienie tego rejonu na podstawie mapy lub w terenie.

Trudno, redaktor Adamczewski dzieli ludzi na „swoich” i „obcych”.

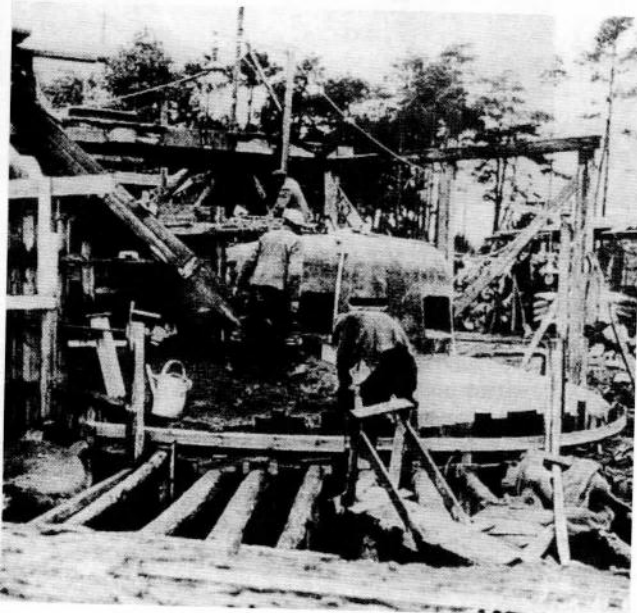
Na potwierdzenie realności drażenia w tym rejonie tunelu podaję fragment opisu, jaki opublikowała Regina Dachówna w artykule „Tajemnice międzyrzeckich bunkrów”: „Część panzerwerków, na przykład między jeziorami, była połączona nie z „głównym” korytarzem, lecz oddzielnymi, które opłatały jedynie tę oddzielną grupę”. Jest to zgodne z opisanymi wcześniej systemami połączeń pomiędzy Werkami.

Marek Tarczyński w artykule „Międzyrzecka Linia Maginota” zamieszczonym w „Mówią Wieki” również potwierdza istnienie podziemnych połączeń. Pisze tak: „Na 55 „panzerwerków” rozmieszczonych w rejonie Wysoka, 28 było powiązanych między sobą podziemnymi poternami budowanymi na głębokości 35 – 50 m pod ziemią. Łączna długość podziemnych tuneli w tym rejonie dochodziła do 50 km i stanowiła istny labirynt”.

Pętla Boryszyńska

Znowu muszę napisać, że redaktor Adamczewski wmawia mi to, czego nie napisałem. Ja nie przypisywałem żadnego innego znaczenia „Pętli Bory-

Panzerwerk w trakcie budowy.



szyńskiej” niż miała określone w założeniach projektowych. A to, że życie ustala inne warunki niż planiści, to potwierdziło się również w podziemiach „Pętli Boryszyńskiej”.

Miniewicz pisze, że koło Boryszyna powstał jeden obóz dla robotników pracy przymusowej wykorzystywanych w nowo uruchomionej fabryce „Daimlera”. Ale o tym redaktor Adamczewski nie wie, pisząc że „Pętla Boryszyńska” nie była wykorzystywana do innych celów. Fakt wykorzystywania „Pętli Boryszyńskiej” dla celów produkcyjnych potwierdza sprawozdanie z 1948 roku z badania podziemi MRU:

„Natrafililiśmy w rejonie Boryszyna, na wschód, w odległości około 2 km od stacji kolejowej Staropole na wielkie wykopy ziemne z rozpoczętymi budowlami żelbetowymi, prowadzonymi do podziemi. Jeden z większych wykopów mieści w sobie żelbetową studnię głębokości 25 m i średnicy ok. 5 m przez którą po betonowych schodach zesliśmy do podziemi głównego korytarza. Posuwając się głównym korytarzem natrafililiśmy na cały labirynt korytarzy bocznych. W jednym z takich korytarzy znajduje się skład półfabrykatów części do motorów lotniczych, różnych wymiarów i kształtów. Są to odlewy duraluminiowe i innego metalu w ilości około 10 wagonów kolejowych”.

Wyjaśniam, że ja nie obliczałem tej 25 m głębokości i nie liczyłem tych 10 wagonów. Dla mnie, inaczej niż dla redaktora Adamczewskiego, istotny jest bezsporny fakt, a nie różnica paru metrów w głębokości, albo mniej lub więcej o jeden wagon.

Redaktor Adamczewski wyklucza możliwość ukrycia dóbr kultury w podziemiach „Pętli Boryszyńskiej” m.in. dlatego, że wykonana ona została w 1944 r. O czasie budowania „Pętli” napiszę później, a teraz podaję miejsce znalezienia antyków, właśnie tutaj.

Redaktor Dariusz Brożek w artykule „Milczące forty” pisze tak: „Po zakończeniu działań wojennych do Międzyrzecza przyjechała radziecka komisja poszukująca zagrabionych przez hitlerowców dzieł sztuki. W rejonie tzw. „Pętli Boryszyńskiej” (gm. Lubrza) Rosjanie natrafili na zamaskowane komory depozytowe, gdzie ukryto antyki zrabowane w polskich muzeach. Warto odnotować, że właśnie tam odnaleziono część zaginionych prac Jana Matejki; obrazy i wyroby z porcelany wywieziono do ZSRR, skąd do Polski powróciły w 1956 r.”.

Warto jeszcze podać relację Henryka Nitza, który od 1943 r. pracował w podziemiach, a kwaterował w położonym nieopodal obozie pod wsią Hochwalde. Redaktor Jerzy Jaśkowiak w artykule „Tajemnicze bunkry” tak pisze: „W ostatnich dniach grudnia 1944 r. był świadkiem wyładowania z samochodów do szybu, w którym funkcjonowała winda, wielkich skrzyń z napisem „Köenigsberg”, i że skrzynie powędrowały do jednego z trzech wielkich magazy-



Żołnierze Armii Czerwonej w zdobytym bunkrze.

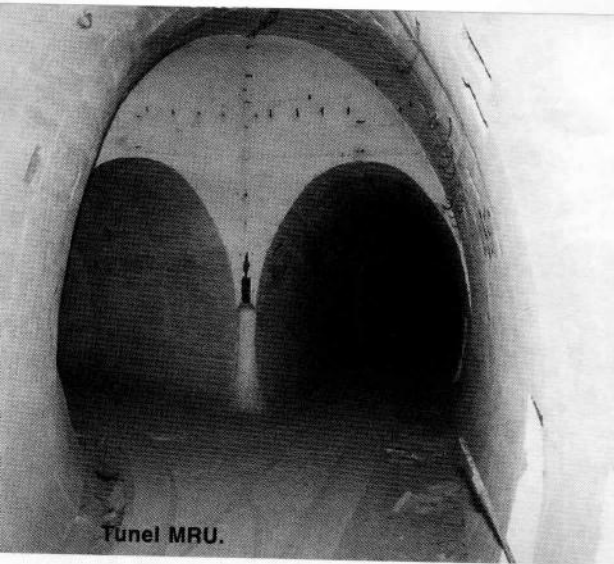
nów znajdujących się pod ziemią w pobliżu tego szybu”. Jesienią 1982 r. H. Nitz zaprowadził redaktora Jaśkowiaka w rejon „Pętli Boryszyńskiej”.

Pisanie przez redaktora Adamczewskiego, że „plany nijak mają się do rzeczywistości” jest jeszcze jednym dowodem szukania dziury w całym. Przecież ja pisałem tak samo, tylko bardziej dokładnie: „Rozmieszczenie i ilość istniejących komór nie zgadza się z rozmieszczeniem i ilością na planie budowy. Obecnie jest ich mniej”.

Redaktor Adamczewski w jednym z artykułów twierdzi, że „Pętla” w kształcie nam dziś znanym powstała dopiero w drugiej połowie 1944 r., gdy w końcu lipca tegoż roku „...rozpoczęto kontynuować roboty przy rozbudowie fortyfikacji międzyrzeczkich. Prace inwestycyjne koncentrowały się wtedy głównie właśnie na Pętli Boryszyńskiej”. Twierdzenie to jest całkowicie fałszywe, bo nie ma najmniejszego potwierdzenia w dokumentach. Dokumenty mówią zupełnie coś innego.

Latem 1936 r. przystąpiono do wznoszenia pierwszych schronów na odcinku północnym i południowym. Jesienią 1936 r. firma „Barzewski i Ziemeck” przystąpiła do budowy systemu podziemi odcinka „Hochwalde”. Punktem wyjścia były miejsca posadowienia pierwszych schronów wznoszonych na skrzydłach tj. koło Kęszycy i Boryszyna.

Budowę baterii rozpoczęto od skrzydłowych, najpierw w rejonie Boryszyna – nr 4 (nr 5), a później pod Kęszycą – nr 7. W końcu 1938 r. miała być gotowa do przyjęcia pierwszej wieży z haubicą 149 mm bateria pancerna nr 5 koło Boryszyna. W chwili przerwania budowy OWB, latem 1938 r. stała już tam gotowa dolna kondygnacja schronu nr 3. W kwietniu 1938 r. Hitler wydał rozkaz przeniesienia wysiłku fortyfikacyjnego na granicę zachodnią. Ponieważ odcinki fortyfikacji wschodniej były już ukończone, a OWB po-



Tunel MRU.

siał solidnie wzmocnioną do 1937 r. linię Nischlitz–Obra, Hitler postanowił przerwać prace na terenie Bramy Lubuskiej. Jednak później akceptował zarządzenie nakazujące doprowadzenie linii do stanu gotowości bojowej. Od 1938 r. kierownictwo nad pracami wykończeniowymi na OWB objęła Organizacja Todta. Skoncentrowano się na budowie obiektów uzupełniających, montażu instalacji wewnętrznych oraz pracach ziemnych przy istniejących obiektach. Kto wie, do jakich robót i na jakie budowy oraz w jakich okolicznościach kierowana była Organizacja Todta, ten nie będzie mówił, że tam, gdzie budowę przejmowała OT następowało zahamowanie tempa robót. Na planach niemieckich jest wyraźnie zaznaczone, że w 1939 r. przy budowie baterii pancernej nr 5 były budowane trzy wieże baterii pancernej, jeden B-Werk i dwa Bahnhöfe – Nord i Süd.

Po uderzeniu na ZSRR i pierwszych sukcesach na tamtejszym froncie, na początku 1942 r. nastąpiło zupełne przerwanie prac na OWB.

Spokój na OWB nie trwał długo, bo już w lecie 1943 r. przeniesiono do podziemi OWB linię produkcyjną firmy „Daimler”. Przystosowaniem podziemi do potrzeb produkcji zajmowała się firma „Gotlieb Tesch”. Trudno zgodzić się z redaktorem Adamczewskim, że latem 1944 r. pośpiesznie zaczęto wykańczać te obiekty (koło Międzyrzecza), których budowę przerwano w 1938 r. a także rozbudowywać umocnienia według przedwojennych planów”. Nie było potrzeby wykańczać, bo roboty rozpoczęte zostały wykończone, o czym pisałem wcześniej, natomiast na rozbudowę według przedwojennych planów było już za późno. Rozkaz Hitlera nr 11 z 8.03.1944 r. nie nakazuje rozpoczęcia i prowadzenia robót na OWB. Janusz Miniewicz znał treść tego rozkazu, dlatego wyjaśnia: „Cytując ten fragment rzec by można, że w pierwszym rzędzie odnosi się on do Bramy Lubuskiej. Niestety...”

Wyjaśniam i ja, że treść rozkazu i treść załącznika nr 1 do wymienionego rozkazu dotyczyły spraw or-

ganizacyjnych. J. Miniewicz pisze dalej: „Dopiero wyjście Rosjan na linię Wisły i Narwi w końcu lipca spowodowało przygotowania obronne na granicy i przedpolu Niemiec. Motorem tych działań był gen. Guderian, który jako szef OKH 28 listopada 1944 r. wydał rozkaz w sprawie rozbudowy „Linii Nibelungów”. Ten rozkaz również nie dotyczył rejonu Międzyrzecza. Dopiero w styczniu 1945 r, gdy rozpoczęła się ofensywa radziecka, skierowano do MRU trzy bataliony Volkssturmu z Kostrzyna i wszystkie z terenu Brandenburgii, celem zajęcia pozycji obronnych. Od 26 – 28 stycznia 1945 r. dowództwo niemieckie obsadziło fortyfikacje MRU na całej jego głębokości oddziałami 433 i 463 dywizji piechoty, przerzuconymi z Frankfurtu, oraz siłami berlińskiej szkoły podoficerskiej.

Wszystkie powyższe opisy dotyczyły obiektów naziemnych lub podziemnych znajdujących się na OWB. Teraz podam przykłady różnej interpretacji materiałów dotyczących tych obiektów.

Redaktor Adamczewski opisuje uruchomienie obozu w następujący sposób. Latem 1944 r. zaczęto wykańczać i rozbudowywać umocnienia. Potrzebni byli nowi robotnicy przymusowi, których firma „Gotlieb Tesch”, dotychczas zajmująca się adaptacją podziemi dla celów produkcyjnych, zaczęła zatrudniać coraz więcej. I dla nich koło Boryszyna urządzano obóz.

Natomiast Janusz Miniewicz pisze, że w 1944 r. powstały dwa nowe obozy koło Wysokiej i jeden koło Boryszyna, dla potrzeb uruchomionej tu produkcji przez firmę „Daimler”, to znaczy – nie dla firmy „Gotlieb Tesch”, i nie do prac związanych z rozbudową podziemi!

Redaktor Adamczewski pisze też: „z dokumentów niemieckich wiadomo, że w rejonie Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry – Warty, wybudowano cztery specjalne magazyny podziemne na ekspozyty z poznańskiego Kaiser – Friedrich – Museum...”

Natomiast Janusz Miniewicz pisze tak: „Fragmenty podziemi wykorzystano także na magazyny m.in. umundurowania. Cztery komory przeznaczono do celów specjalnych – na schowki na dokumenty i dzieła sztuki. W 1944 r. umieszczono w nich najcenniejsze ekspozyty z muzeum w Poznaniu oraz dokumenty archiwum Sztabu Generalnego z Królewca”.

Ocena powyższych opisów i wnioski z niej wynikające wykraczają poza temat mojego listu, dlatego na tym kończę.

Z wyrazami szacunku

Józef Piszczek
dyletant

Zdjęcia: Bogusław Wróbel i "Die vergessene Festungsfront im Oder – Warthe – Bogen"

Był ciepły majowy dzień 1945 roku. Arnold Krüger wracał właśnie ze „swojego” łowiska na austriackim jeziorze Toplitzsee - połów był w miarę udany. Był już niedaleko brzegu, gdy zobaczył biały kawałek papieru, leniwie kołyszący się na falach w

Adolf Burger urodził się w 1917 roku na Słowacji, jako syn żydowskiej rodziny osiadłej w Wielkiej Łomnicy, w okręgu Kezmarok. W wieku młodzieńczym został członkiem komunistycznej Partii Słowacji i jako typograf pracował w drukarni. W 1942 roku, za posiadanie książek o wydźwięku lewicowym, został aresztowany przez Gestapo i wywieziony do Auschwitz. Otrzymał numer 64 401. Wkrótce został przetransportowany do Birkenau.

W połowie kwietnia 1944 roku komendanci obozów koncentracyjnych otrzymali z Berlina rozkaz, by

OPERACJA

„Bernhard”

poblizu jego łódki. Lekko wychylił się i ostrożnie podebrał go wiosłem.

Nie wierzył własnym oczom! Na brudnej burcie jego łódki leżał... brytyjski banknot pięćofuntowy! Jeszcze tego samego wieczora pieczołowicie wysuszył go między okładkami niewielkiego modlitewnika i następnego dnia wymienił w banku na szyling.

Kilka godzin później ponownie wiosłował wzdłuż i wszerz miejsca gdzie wyłowił pierwszą zdobycz. Przez najbliższe dni wyląwiał, suszył i wymieniał banknoty, aż do momentu, gdy zainteresowało to stacjonujących w pobliżu oficerów amerykańskiego kontrwywiadu.

Wkrótce sprawa stała się głośna. Toplitzsee ogłoszono „Jeziorzem Skarbów”.

wybrać spośród więźniów fotografów, specjalistów od retuszu, chemików i typografów. W Birkenau, po przeprowadzeniu selekcji, wybrano dziesięciu więźniów - czterech Polaków, dwóch Holendrów i po jednym Francuzie, Jugosławianie, Austriaku i Słowaku - był nim właśnie Adolf Burger.

Po kilkutygodniowej kwarantannie komando zostało odwiezione pociągiem do Berlina, a stamtąd do Sachsenhausen. Adolf Burger otrzymał nowy numer - 79 161 i trafił do ponownej kwarantanny. Nikt z więźniów wtedy nie wiedział, co ich czeka, jaka będzie ich przyszłość.

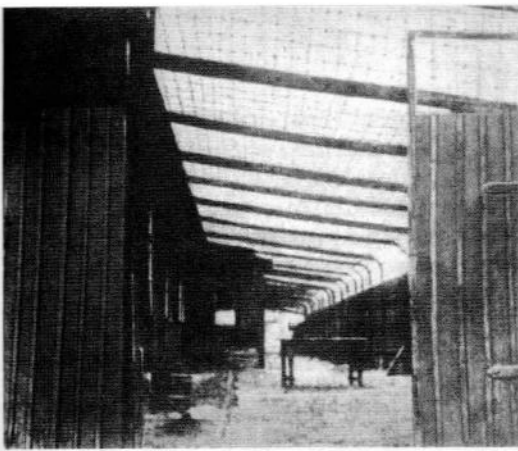
„Było wcześniej rano, kiedy usłyszeliśmy ciężkie kroki zbliżające się do drzwi. Do baraku wszedł mężczyzna w mundurze SS-Hauptscharführera. Przedstawił się jako Fritz Werner.

Stwierdził, że teraz on będzie się o wszystko troszczył i że pokaże nam miejsce, w którym spędzimy resztę wojny. Mamy się nie bać, bo wojna prędko się skończy, a później będzie wszystko dobrze”.

Przeszliśmy z nim przez cały obóz do części południowej, gdzie znajdowały się bloki 18 i 19, oddzielone od reszty obozu posterunkami i płotem z drutem kolczastym. Werner wszedł z nami do bloku. „Witam Was w nowym środowisku. Żebyście



Położenie bloków 18 i 19 w KZ Sachsenhausen.



Widok jednego z bloków komanda.

wiedzieli o co chodzi - produkujemy fałszywe angielskie funty, a wy będziecie w tym pomagać”.

Nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom, gdy dowiedzieliśmy się, dlaczego typografowie, malarze i bankierzy zostali tu zgromadzeni. Później Werner zaprowadził nas do drukarni. W dwóch szeregach stały tam nowoczesne maszyny drukarskie. Pracujący przy nich więźniowie odróżniali się od pozostałych w obozie koncentracyjnym - byli czysto ubrani i nie mieli w ogóle wyglądu wygłodniałych, zabiedzonych i cierpiących „normalnych” więźniów”.

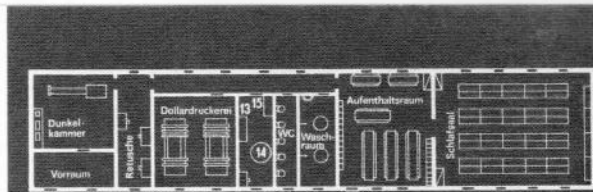
Przedsięwzięcie realizowane w Sachsenhausen nosiło nazwę „Unternehmen Bernhard”. Nazwę tę wzięło od imienia człowieka, który je realizował: SS-Sturmabführera Bernharda Krügera. Był on kierownikiem referatu VI F4 w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA).

W szczytowym okresie natężenia prac w Sachsenhausen pracowało około 130 więźniów, miesięcznie drukowano 400 000 sztuk fałszywych banknotów. Płyty drukarskie dostarczał zakład SS umiejscowiony we Friedenthal koło Sachsenhausen.

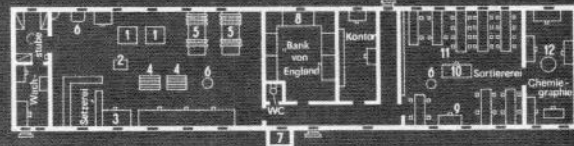
„Pieniędzmi, które jako pierwsze drukowałem na przydzielonej mi maszynie, były banknoty używane na terenach wyzwolonych przez jugosłowiańskich partyzantów(...)

Przed wysyłką pieniądze były gniecione i brudzone, tak, by nie można od razu wykryć fałszerstwa”.

Plan fałszowania walut krajów koalicji antyhitlerowskiej powstał na bazie dotychczasowych doświadczeń europejskich na tym polu - zwłaszcza fałszowania rubli w 1927 r. Po serii przeprowadzonych w absolutnej tajemnicy narad, plan przedsięwzięcia dostał do realizacji szef SD - Reinhard Heydrich oraz jego współpracownicy: SS - Brigadeführer Otto Rasch i SD - Hauptsturmführer dr Wilhelm Höttl. Sam proces produkcyjny podlegał Krügerowi.



Hof



Szkic umiejscowienia maszyn w blokach:

- 1 - maszyna numerująca, 2 - kopiarka,
- 3 - pokój Blockführera SS, 4 - stawy suszący,
- 5 - maszyny drukarskie, 6 - piec, 7 - generator,
- 8 - regał na gotowe banknoty, 9 - stół do prac wstępnych, 10 - sortownia, 11 stoły robocze,
- 12 - maszyna grawerska, 13 - stół szklany,
- 14 - wirówka, 15 - myjnia.

Maszyny drukarskie pochodziły głównie z Ullsteindruckerei z Berlina; papier dostarczała firma Hahnemühle GmbH w Dassel, a farby drukarskie produkowały firmy „Braci Schmidt” z Berlina i „Kast und Ehinger GmbH” także z Berlina.

Tworzenie Komanda Fałszerzy rozpoczęło w połowie 1942, grupując fachowców ściągniętych z wielu różnych obozów koncentracyjnych. Wszyscy byli pochodzenia żydowskiego. We wrześniu 1942 roku Komando rozpoczęło swoją pracę przygotowawczą - początkowo załoga liczyła 28 więźniów. W grudniu 1942 do bloków 18 i 19 ściągnięto maszyny i w styczniu 1943 ruszyła produkcja. Przede wszystkim drukowane były banknoty angielskie o nominałach 5, 10, 20 i 50 funtów. Całe przedsięwzięcie było znane jedynie bardzo wąskiej grupie osób z referatu VI F4 RSHA, który zajmował się tajnymi akcjami poza granicami Niemiec. Przy pomocy fałszywej waluty agenci SD skupowali zarówno na legalnych, jak też i „czarnych” rynkach złoto, kamienie szlachetne, biżuterię i waluty. Rozliczenia prowadził specjalny referat urzędu VI tzw. VI-Wirtschaft (VI-Wi). Wprowadzenie fałszywych pieniędzy do obiegu odbywało się na terenie wszystkich krajów Europy - w tym w Szwajcarii, Irlandii, Grecji, Monako, jak też w Afryce, Australii i krajach Ameryki Południowej. Wyjaśniając po wojnie sprawę fałszerstwa tajne służby USA były w stanie odnaleźć jedynie ślady około dziesięciu procent wartości wyprodukowanych walorów...

Jeziro Toeplitzsee stawało się coraz bardziej znane. Przybywało śmiałków chcących wydrzeć mu wszelkie tajemnice. Jednak strażnicy zatopionych wartości znali swoje obowiązki. Od roku 1945 do



Bernhard Krüger

1963 zanotowano w tamtych okolicach aż osiem niewyjaśnionych morderstw! Wszystkie ofiary łączyły tylko jedno - wszyscy szukali „skarbu” jeziora - na różne sposoby próbując spenetrować jego głębiny.

W lipcu 1959 r. zespół badaczy działający pod patronatem magazynu „Stern” otrzymał od władz austriackich zezwolenie na oficjalne przeszukanie dna jeziora w terminie od 25 lipca do 31 sierpnia 1959, pod kątem możliwości istnienia tam ukrytych dóbr. Zezwolenie zabraniało jedynie wydobywania z dna amunicji i niewypałów.

W krótkim czasie odnaleziono i wyciągnięto na brzeg kilkanaście skrzyń zawierających w sumie dwadzieścia pięć tysięcy sztuk banknotów angielskich, powiązanych w ładne paczuski - w każdej było ich tysiąc. W kilku skrzyniach znajdowały się akta Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy; wśród nich były dokumenty komand specjalnych KZ Sachsenhausen oraz notatki dotyczące aktów sabotażu przygotowywanych przez SS na tereny Holandii, Norwegii i Anglii, a także przepustki ze specjalnymi pełnomocnictwami „Reichsführera SS”.

Akcja wydobywania trwała jeszcze w pełni, gdy do lokalnych władz i uczestników akcji zaczęły przychodzić listy z pogróżkami. Dwa tygodnie przed końcem ważności zezwolenia telegram od szefostwa „Stern” nakazał przerwanie jakichkolwiek działań.

„Pewnego dnia w blokach nr. 18 i 19 obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen rozeszła się wiadomość: dołączy do nas największy, najbardziej do-

świadczony i najcenniejszy fałszerz wszystkich czasów! Po kilku dniach mogliśmy go poznać. Okazał się nim czterdziestoletni wówczas emigrant rosyjski - Salomon Smolianoff. Po krótkim zapoznaniu ze sprzętem został ustanowiony głównym specjalistą do spraw retuszu.

Produkcja funtów odbywała się „zgodnie z planem” - SS znało wszystkie tajne znaki zabezpieczeń banknotów, więc mogły być one odtwarzane do najdrobniejszej kreseczki.

Specjalna grupa więźniów kontrolowała każdą wyprodukowaną sztukę. Pieniądze drukowane były po cztery sztuki, w typowy sposób, w jakim normalnie drukowano książki. W związku z tym, iż wiele osób w Anglii nosiło banknoty spięte agrafką, specjalna grupa więźniów zajmowała się ich dziurkowaniem, tak, by jak najwierniej przypominały oryginały - stało się to okazją do małej dywersji - więźniowie przekuwali wszystkie banknoty w tym samym miejscu, by chociaż w ten sposób tajemnica mogła wydostać się na światło dzienne...

Gotowa „produkcja” dzielona była na cztery kategorie - pierwsza - to banknoty doskonałe, druga - to ta, które zawierały drobne błędy - prawie niezauważalne. Następną kategorią - to banknoty z błędami drukarskimi. Zrzucał je nad Anglią, dla osłabienia funta. Pozostałe, nie nadające się do użytku, były niszczone.

Gotowe „wyroby” składowane były w oddzielnym pomieszczeniu. Raz w tygodniu odbierał je SS-Sturmbannführer Krüger.

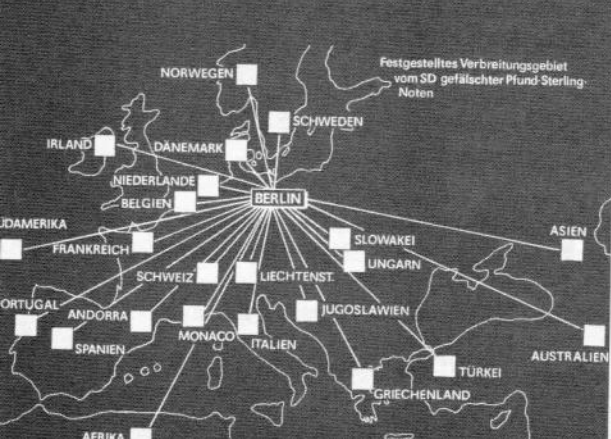
Wkrótce do naszego zakresu „robót” doszła także produkcja znaczków i dokumentów.

Znaczki były specyficzne. Przerabiane były w ten sposób, by, jak wyjaśnił jeden z SS-manów, wzbudzały nienawiść do Żydów. Miały być naklejane na listy do różnych adresatów, wybieranych przez tajnych agentów umiejscowionych w Anglii”.

Według informacji „Linzener Volksblatt” w głębinach Toplitzsee nie odnaleziono dotąd skrzynki z najważniejszymi dokumentami - zawierającymi dane personalne osób zaufania SS - ludzi umiejscowionych na kluczowych stanowiskach rozsiadanych po całej Europie, zaopatrzonych w ogromną ilość pieniędzy i złota wystarczającego dla uratowania prominentnych osób III Rzeszy przed odpowiedzialnością za zbrodnie.

Po częściowo udanej akcji wydobywania przeprowadzonej przez „Stern”, w okolicach jeziora powstał film reżyserowany przez Franza Antela zatytułowany „Skarb w Toplitzsee”. Jak sam wspomina, kiedy aktorzy wyciągali skrzynie pełne filmowych „banknotów” z wody, z pobliskiego lasu ktoś zaczął do nich strzelać! Na szczęście niecelnie. Wkrótce producenci filmu otrzymali też list z

Kierunki rozprowadzania fałszywych banknotów.



ostrzeżeniem: „Przestańcie dalej szukać, bo coś się stanie”.

Film nie powstał.

Cztery lata później na brzegu jeziora znaleziono ciało dziewiętnastoletniego nurka - amatora - Adolfa Engera. Śledztwo nadzorowało austriackie ministerstwo spraw wewnętrznych. Tropy wiodły do dawnych oficerów SS i SD...

By zapobiec dalszym wypadkom ówczesny minister spraw wewnętrznych Franz Olah rozkazał przeprowadzenie gruntownych badań. Działo się to w 1963 roku. Nie wiadomo kto, i w jaki sposób prowadził prace. Po trzech miesiącach oficjalny komunikat głosił, że w jeziorze nic nie ma...

Następne poszukiwania przeprowadził w 1971 roku Heinz Riegel, kupiec z Karlsruhe. Założył „tajne” stowarzyszenie, liczące prawie stu członków, które miało dyskretnie, bez stosownych zezwoleń wyłowić skrzynie ze skarbami. Oczywiście nic nie wyszło ani z „tajności”, ani z eksploracji.

W latach 1983 - 86 jezioro badał niemiecki eksplorator Hans W. Fricke, wykorzystując do tego celu podwodną łódź badawczą „Geo”. 15 listopada 1984 r. gazeta „Neue Ruhr-Zeitung” w artykule „Jezioro Toplitz oddaje swoje skarby” napisała: „Niemiecki poszukiwacz Hans Fricke odkrył na głębokości 80 m, przy pomocy swojej mini-łodzi podwodnej, banknoty angielskie. Wyciągnięte z tak dużej głębokości były w zadziwiająco dobrym stanie”.

„W Sachsenhausen drukowane były także broszury szkoleniowe dla dywersantów. Zawierały instrukcje, prawie we wszystkich językach europejskich, jak wysadzać mosty, wykolejać pociągi i utrudniać produkcję przemysłową.

Pewnego razu, w ciągu dwunastu godzin, zakład musiał skopiować dokumenty zatrzymane argentyńskiemu przedsiębiorcy pod pretekstem... podejrzenia, że są podrobione”

Pierwsze fałszywe banknoty trafiły na Wyspy Brytyjskie w 1943 roku. Pod koniec wojny, jak oceniano, około czterdziestu procent będących w obiegu funtów szterlingów stanowiły banknoty „wyprodukowane” w tajnych zakładach SS!

Poczynając od 24 marca 1945 Bank Anglii wycofywał i unieważniał wszystkie nominały pięciofuntowe.

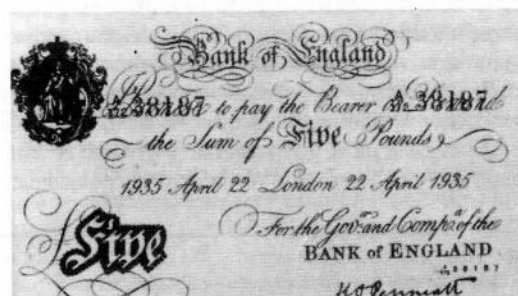
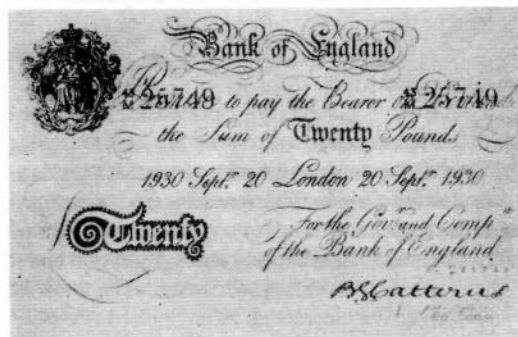
„W 1944 roku zakład otrzymał zlecenie wyprodukowania trzystu legitymacji NKWD. Największym problemem było dopasowanie lnianej okładki legitymacji, bowiem na terenie zakładu nie było w ogóle płótna! W końcu zrobiono ją przy pomocy specjalnego wypukłego druku...”



Znaczkę mającą wywołać nienawiść do Żydów.

Najtrudniejszym zadaniem Komanda Falszerzy była jednak produkcja dolarów. Zwłaszcza o nominałach wyższych – 50 i 100 dolarów. Drukowane były one bowiem w bardzo trudnej wówczas technice wkłęsłodruku. Samo przygotowanie matryc trwałoby około półtora roku - w tym wypadku Krüger zażądał, by natychmiast utworzyć czteroosobową grupę, która zajmie się tematem. Do tego zadania zostali wybrani: grafik – Cytwin, typograf – Burger, mistrz fałszowania – Smolianoff – jako retuszer i Jacobson - nadzorujący prace. Ponadto pracowali dla grupy: fotografowie – Leonard i Roger Weil, retuszerzy - Peter Edel i malarz Leo Haas. Dla potrzeb tej grupy sprowadzono z Berlina naukowca w stopniu profesora, który uczył nowych technik fotokopii – pierwsze próby robiono drukując karty i widokówki.

Fałszywe funty.



Oranienburg, 20. 7. 1942

Betrifft: Meldung jüdischer Häftlinge

Gottlieb	
Konzentrationslager P. A. 11	
Raumnummer	
Datum: 29. VII. 1942	
1.	2.
3.	4.
5.	6.
7.	8.
9.	10.

An die
Kommandanten der
Kl. Buchenwald, Ravensbrück u. Sachsenhausen

Es sind mir umgehend die im dortigen Lager befindlichen jüdischen Häftlinge zu melden, die aus dem graphischen Gewerbe stammen, Papierfachleute oder sonstige geschulte Handarbeiter (s. B. Prißner) sind.

Diese jüdischen Häftlinge können fremder Nationalität sein, müssen jedoch deutsche Sprachkenntnisse besitzen. Bei Abgabe der Meldung ist Nationalität bekanntzugeben.

Termin: 5. August 1942

Der Chef des Amtes D II
im Auftrage

[Signature]
H-Oberreferent

Zarządzenie dotyczące wyselekcjonowania więźniów związanych z drukarstwem.

Przy produkcji dolarów główna trudność polegała na skopiowaniu negatywu na płytę szklaną. Przeszkody nie zniechęcały Niemców; po prostu pod koniec 1944 roku wydali rozkaz, pod karą śmierci, by w jak najszybszym czasie rozpoczęła się „produkcja” dolarów. Niestety, kolejne wydruki nie były zadawalające. Dopiero dwustu pięćdziesiąta próba, przy mocno podretuszowanym przez Smolianoffa negatywie, udała się. Wydrukowane i podniszczone banknoty wymieszano z prawdziwymi i dano do oceny w wyspecjalizowanej placówce SD, która miała wyłonić z niej oryginały.

„Fachowcy” jako jedyny prawdziwy banknot przesłali... podróbkę.

Co godzinę z maszyn drukarskich Sachsenhausen schodziło pięćset banknotów. Dziesięciogodzinny dzień pracy dawał „urobek” wartości miliona (ówczesnych!) dolarów”.

Markus Köberl, historyk z Bad Aussee ustalił, że wczesnym rankiem 6 maja 1945 roku na placu przed zamkiem Grundlsee stało kilka ciężarówek z ładunkiem około sześćdziesięciu drewnianych skrzyń. Siedemdziesięciopięcioletnia dziś Ida Weissbacher wspominała:

„Była piąta rano, gdy zostałam wyrwana ze snu przez dwóch SS-manów. Wydali krótkie polecenia:

„Natychmiast zaprzęgać, transport do Toplitzsee”. Po około dwudziestu minutach na placu przez zamkiem, poza zaprzęgiem Weissbacherów, stały już podwozy dwóch innych okolicznych rolników. Skrzynie były obite deskami z jasnego drewna, ale przez szpary widać było wewnętrzną metalową część. Podczas prawie trzykilometrowej drogi do jeziora na wszystkie pytania woźniców, ciekawych tego, co wiozą, padała tylko jedna odpowiedź „Geheime Kommandosache”. Gdy transport dojechał do brzegu jeziora część skrzyń załadowana już była na tratwę. Trałta sterowana przez SS-manów wypłynęła na środek Toplitzsee, które ma w tym miejscu nie więcej niż 400 metrów szerokości, i skrzynie, jedna po drugiej znikwały w głębokiej na prawie sto metrów toni...

Miejsce nie było wybrane przypadkowo - od 1943 roku niemiecka marynarka wojenna, pod nadzorem SS, prowadziła na terenie Toplitzsee tajne eksperymenty podwodne.

W czerwcu roku 2000 nad jeziorem pojawiła się następna grupa badaczy. Tym razem wyprawę zorganizowało centrum Szymona Wiesenthala z Los Angeles i amerykańska telewizja CBS. Do prac, których wartość jest szacowana na 20 milionów marek, wynajęto firmę „Oceaneering” znaną z odkrycia i eksploracji wraku „Titanica”.

Prowadzący prace Bill Owens z CBS twierdzi, że nie jest to żadne poszukiwanie skarbów - chodzi o tajne dokumenty z czasu II wojny światowej, które chciała w ten sposób ukryć nazistowska służba bezpieczeństwa. Jezioro miało zostać przebadane sonarami metr po metrze, by wykryć wszystkie elementy spoczywające na dnie.

Niestety - lokalni eksperci nie rokowali badaniom zbyt dużych sukcesów - poniżej głębokości 20 metrów jezioro pełne jest zatopionych gałęzi, drzew i kamieni, które w słonych warstwach wody, zalegających przy dnie jeziora, doskonale je zakonserwowały, utrudniając, a może nawet uniemożliwiając jakiegokolwiek gruntowne badania.

Jak dotąd, mimo iż prace miały zakończyć się w sierpniu 2000 roku, nic nie słychać o jakichkolwiek odkryciach...

23 lutego 1945 roku zarządzono ewakuację zakładu. Dla więźniów, mających świadomość, iż ludzie wykonujący tak tajne prace nie mają prawa przeżyć, oznaczało to przedłużenie nadziei. Załadowany maszynami i materiałami do produkcji transport dojechał specjalnym pociągiem do Pragi. Stamtąd, po



Część Komanda Falszerzy. Pierwszy z prawej w drugim rzędzie - Adolf Burger.



Falszywe pieniądze wyciągane z Toplitzsee.

krótkim postoju - do Nordhausen, zwanego przez osadzonych - „Mordhausen”. Komando Falszerzy zostało zainstalowane w bloku nr 20, oddzielnym od reszty obozu murem, płotami z drutu kolczastego i pilnowanym przez dodatkowe strażę.

Wśród Niemców zaznaczał się już wtedy brak koordynacji - cały sprzęt był na przemian, dzień po dniu, za- i rozładowywany, aż w końcu - 28 marca - ponownie ruszył w drogę. Tym razem do Dedl-Zipf, gdzie znajdowała się filia KZ Manthausen.

„Nasze Komando zostało przydzielone do dwóch specjalnych bloków, które dopiero po przyjeździe sami musieliśmy otoczyć płotem z drutu kolczastego. Przyjechaliśmy późnym popołudniem, i zanim skończyliśmy pracę i ułożyliśmy się spać, zapadła noc. Z okolicznych baraków dała się słyszeć muzyka - to na gitarach grali i śpiewali hiszpańscy brygadziści (...)

Następnego dnia czekała nas niespodzianka. Zauważyliśmy, że góry, których zarysy wczoraj wieczorem widzieliśmy, pokryte były siatkami maskującymi, zakrywającymi tajne wejścia wiodące do głębokich podziemnych sztolni.

Nasza praca tego dnia rozpoczęła się od wnoszenia do sztolni skrzyń z banknotami. Zaraz za bramami sztolni stały wielkie ciężarówki, którymi dojeżdżaliśmy do obszernych magazynów. Zauważyliśmy też ogromną fabrykę. Pracowano w niej nad „Cudowną Bronią” Hitlera - V-1.

Po złożeniu banknotów w podziemnym magazynie rozpoczęliśmy przygotowania do dalszej produkcji. Pierwszego maja 1945 roku rozpoczął się druk (...).

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł Krüger, którego od wyjazdu z Sachsenhausen nie widzieliśmy. Uściśnął każdemu z nas rękę i stwierdził, że widzimy się ostatni raz i że najpóźniej za trzy tygodnie będziemy na jego miejscu, a on na naszym...”.

Mimo usilnych poszukiwań brytyjskich i amerykańskich tajnych służb SD - Sturmabführer Bernhard Krüger nie trafił do niewoli. Ukrywał się na te-

renie Niemiec do 1955 roku - gdy przedawniła się możliwość ukarania go za zbrodnie i fałszerstwa. Okazało się, iż przez cały ten czas pracował jako referent w tej samej fabryce papieru, która przygotowywała papier do produkcji fałszywek...

Jeszcze długo po wojnie w różnych krajach świata pojawiały się w obiegu wyprodukowane w Komandzie Falszerzy pieniądze.

Prawie wszyscy więźniowie zatrudnieni przy tej nietypowej produkcji przeżyli wojnę. Wśród nich - wielu Polaków żydowskiego pochodzenia. Jednak wszyscy oni, świadomi zagrożenia płynącego z wiedzy uzyskanej podczas tej pracy, ukrywali się w przeróżnych krajach do tego stopnia, iż oficjalnie komisje badające zbrodnie hitlerowskie dotarły tylko do dwóch uczestników tamtych wydarzeń...

Publikacja w „Exploratorze” jest bodajże pierwszym w Polsce zwróceniem uwagi na ten temat. Publikujemy te fakty jednak nie tylko z powodu ich niewątpliwej sensacyjności.

Oto bowiem podczas prac historycznych natknęliśmy się na informacje mówiące o tym, iż na terenie aktualnej południowo - zachodniej Polski również znajdowało się podobne, choć może mniej liczne, Komando Falszerzy!

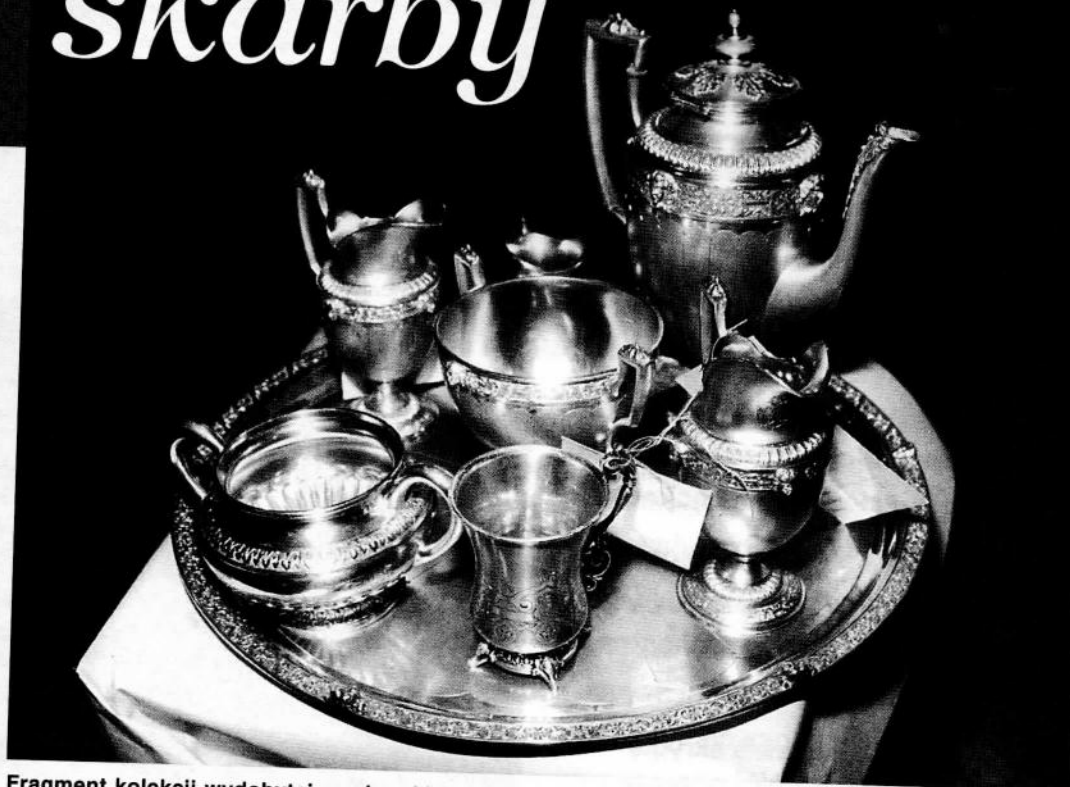
Zajmowało się drukowaniem między innymi fałszywych znaczków i papierów wartościowych (te walory były bowiem znajdowane w okolicach zakładu produkcyjnego). Teren o który chodzi podlegał terytorialnie pod obóz Gross Rosen, który został przecież założony jako filia KZ Sachsenhausen!

Czy zatem dopiszemy dalszy ciąg tej historii?

I jeszcze jedno - SD-Sturmabführera Krügera szukano nie tylko dlatego, iż „zniknęła” ogromna ilość wyprodukowanych fałszywych pieniędzy. Zniknęły także matryce do ich produkcji...

Bogusław Wróbel

Pechowe skarby



Fragment kolekcji wydobytej ze słupskiej piwnicy.

W baśniach dosyć często, po pokonaniu licznych przeszkód, znalazca skarbów staje się ich właścicielem, a potem żyje długo i szczęśliwie. W rzeczywistości odkrywaniu skarbów towarzyszą najczęściej kłopoty i skandale.

Nasza opowieść o dwóch niemieckich skarbach - małym, ukrytym w Słupsku i wielkim, schowanym w kopalni soli Kaisedora jest dowodem na to, że skarby znalazcom przyczyniły sporo przykrości.

Skarb Kleinów

Był upalny czerwiec 1995 r, kiedy jeden z domków jednorodzinnych na ulicy Traugutta w Słupsku odwiedziła starsza pani - Ingeborg von Kaiser. W domku mieszkało wówczas dwóch lokatorów i fakt ten miał duże znaczenie w późniejszych wydarzeniach. Ingeborg von Kaiser przyjechała do Słupska, by odzyskać skarb rodzinny Kleinów, zakopa-

ny w piwnicy domu, z którego wyjechali oni do Niemiec w 1947 r. Ojciec zostawił Ingeborg dokładną instrukcję, gdzie należy szukać schowanego w dębowej skrzyni majątku, którego sam nie był w stanie wywieźć do Niemiec podczas przymusowego przesiedlania. Pani von Kaiser zdecydowała się na przyjazd do domu, w którym się urodziła, dopiero pół wieku później - widocznie myśli o rodzinnym majątku nie zatrzymały jej życia. Pierwsze wizyty w domu przy ulicy Traugutta utwierdziły ją w przekonaniu, że w piwnicach od czasów wojny niczego nie zmieniano. Zachęcona tymi informacjami Ingeborg von Kaiser oznajmiła gospodarzom, że jest tam zakopany skarb należący do jej rodziny. Niemka miała niestety pecha, gdyż piwnica, gdzie zakopano skrzynię, nie należała do lokatorów, którym zawierzyła swoją tajemnicę! Oczywiście zaraz po wtajemniczeniu drugiej rodziny rozpoczęła się seria nieporozumień sąsiedzkich. Jej efekt był taki,

że sąsiedzi nie mogli dojść do porozumienia i każda z rodzin zaczęła poszukiwania skarbu na własną rękę. Zirytowana Ingeborg von Kaiser zawiadomiła policję. 19 czerwca 1995 r. ekipa policjantów wkroczyła do przerytej przez mieszkańców piwnicy i zgodnie ze wskazówkami Niemki wykopała potężną skrzynię, która rozpadła się zaraz po wyciągnięciu jej na wierzch.

Późną nocą

tego samego dnia do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków Zdzisława Daczkowskiego zadzwonił architekt miejski - Andrzej Kondracki i opowiedział o odkryciu przy ulicy Traugutta.

Nazajutrz konserwator zażądał od komendanta wojewódzkiego Policji wyjaśnień, dlaczego nie został poinformowany o znalezisku. Milicjanci tłumaczyli, iż nie wiedzieli, że mają obowiązek informowania konserwatora o takich sprawach - i trudno im się dziwić, bo skarbów przecież codziennie się znajduje... Tym niemniej Zdzisław Daczkowski dowiedział się, że skarb, zawinięty w prześcieradło, leży w szafie pancernej komendy rejonowej Policji. Szafa miała dwa zamki, do których klucze przechowywało oddzielnie dwóch wysokich oficerów. 21 czerwca 1995 r. znalezisko znalazło się w ręku konserwatora. Inwentaryzacja zrobiona wówczas podawała opis 109 obiektów zabytkowych (przy czym za jeden obiekt liczono np. komplet łyżek), których wartość wyceniono na ponad 5 mln. zł (dla przypomnienia podam, że można było za to kupić 13 mach Fiatów!)

Zakusy na zagarnięcie skarbu

miała stolica. Nakazano, by Słupsk przekazał całe znalezisko do Narodowego Banku Polskiego w Warszawie, gdzie miano ocenić jego wartość. Słupszczanie się zaparli, bo wiedzieli, że ze stolicy zabytku nigdy nie wydobędą. Szarpaninę urzędową z czasem wygrali - skarb pozostał w Słupsku. 14 listopada 1986 r. Departament prawny Ministerstwa Finansów wyraził zgodę na nieodpłatne przekazanie znaleziska Muzeum Pomorza Środkowego, co Wojewódzki Konserwator Zabytków skwapliwie uczynił.

Drewniana skrzynia

zawierająca majątek Kleinów leżała przez dziesiątki lat w podmokłym gruncie, bowiem piwnice przy ulicy Traugutta znajdowały się w bliskim sąsiedztwie stawu i rzeki. Przegniły opakowania sztućców i naczyń srebrnych, część przedmiotów nadawała się tylko do wyrzucenia - np. z noży zostały tylko uchwyty - ostrza przerdzewiały doszczętnie. W

pracowniach konserwatorskich muzeum zaczęto przywracać srebrom Kleinów pierwotną urodę. Na liście inwentarzowej muzeum znalazło się prawie 200 uratowanych przez konserwatorów przedmiotów - były to elementy srebrnej zastawy stołowej z XIX i XX wieku - miski, tace, dzbanki, sztućce. W 1988 r. wystawiono na wystawie nowych nabytków muzealnych kubek augsburski z 1599 r. - najcenniejszy przedmiot ze skarbu Kleinów

Kubek z herbem rodu Cronsberg

został wykonany przez mistrza Hansa Baira, a o jego odzyskanie Ingeborg von Kaiser walczyła kilka lat. Prawo polskie pozwalało na zlekceważenie jej praw do skarbu. Starsza pani cieszyła się co prawda, że nie padł on łupem lokatorów domu i trafił do muzeum, nie mogła jednak przeboleć straty najcenniejszego „Kubka Cronbergów”. W Słupsku nikt z nią nie chciał rozmawiać o odzyskaniu choćby części rodzinnego majątku. Uparta starsza pani napisała list do prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. I ku zdziwieniu wszystkich do - Słupska przyszedł nakaz wydania pani von Kaiser przedmiotów o wartości stanowiącej 10% całego skarbu! Pani Ingeborg oczywiście ponownie zażądała kubka, ale z uwagi na jego wartość zabytkową postanowiono, że musi on pozostać w muzeum. Ostatecznie właścicielka zadowolili się musiała kilkoma kubeczkami i



Jeden z odnalezionych kubków.

tacką. Odbierając przedmioty powiedziała, że wie, gdzie w Słupsku są zakopane inne skarby, ale teraz już nikomu z mieszkańców tego nie powie...

Epilog tej historii

jest mimo wszystko optymistyczny. Ingeborg von Kaiser nie stała się bogata, choć była od majątku o krok i gdyby się sąsiedzi nie pokłócili, być może skarb by odzyskała w całości. Starsza pani przeboleła stratę, gdy zobaczyła w jaki sposób Muzeum Pomorza Środkowego zaczęło poddawać srebra konserwacji. Dziś Ingeborg von Kaiser należy do grona osób mocno zaprzyjaźnionych z tą placówką. Pod koniec maja ubiegłego roku starsza pani przywiozła do muzeum dwudziestokilkuosobową rodzinę Puttakerów - potomków jednego z bardziej znanych pomorskich rodów junkierskich - i z dumą prezentowała im „swoje” srebra. Niemcy podziwiali zastawę stołową, a znajdujący się na stałej ekspozycji muzealnej kubek augsburski wprawił ich prawie w zachwyty. Zapewne każdy z nich chciałby być właścicielem tych zabytków, wartych dziś krocie...

Jednak skarb słupski był małym znaleziskiem w stosunku do tego, co odkryli żołnierze amerykańscy w kopalni soli potasowych Kaiseroda.

Skarby III Rzeszy

zdeponowane do lutego 1945 r. w Reichsbanku w Berlinie stanowić miały według współczesnych wycen wartość 7,5 mld. dolarów; bank przechowywał też złoto należące do Włoch o wartości 1,5 mld. dolarów. Całe to bogactwo zostało przed aliantami ukryte. Część - tak dokładnie, że do dziś jej nie odnaleziono - dzięki temu poszukiwanie Skarbów III Rzeszy budzi nadal emocje nie mniejsze niż lokalizowanie Bursztynowej Komnaty.

Dzięki wydawnictwu Readers Digest możemy poznać tajemnicę kopalni Kaisedora, odkrytą przez

żołnierzy amerykańskich. W publikacji „Ukryte skarby Trzeciej Rzeszy” czytamy: „Siedmiu amerykańskich oficerów 7 kwietnia 1945 r. dotarło do leżącej 630 m pod ziemią jaskini wyrobionej w solnej skale. Znaleźli tam 550 worków z banknotami wartości miliarda marek. Po wysadzeniu stalowych drzwi oznaczonych cyfrą 8, Amerykanie dostali się do pomieszczenia o długości 45 m, szerokości 23 m i wysokości 3,6 m. Było tam 7 tysięcy ponumerowanych worków zawierających 8527 sztabek złota, złote monety Szwajcarii, Francji i USA. Znalezione też kufry z brylantami, perłami i innymi drogimi kamieniami zagrabionymi więźniom obozów koncentracyjnych, oraz worki ze złotymi mostkami i plombami. Dodając do tego mniejsze ilości walut innych krajów, odnalezione bogactwa były wówczas największym zgromadzonym w jednym miejscu skarbem na świecie. W podziemnych tunelach znaleziono też 400 ton (!) dzieł sztuki, w tym obrazy z 15 niemieckich muzeów. Pod silną eskortą skarb został spakowany do 11750 skrzyń, załadowany na 32 dziesięcotonowe ciężarówki i wysłany do Frankfurtu. Mimo krążących pogłosek o zniknięciu z konwoju jednego samochodu, transport dotarł na miejsce w całości”.

Ale to, co Amerykanie wydobyli w kopalni Kaisedora, wcale nie było kompletnym skarbem III Rzeszy. Część ukrytych w kopalni bogactw hitlerowcy zdążyli wywieźć. Dokąd? Nigdy tego nie ustalono. Amerykanie prowadzili śledztwo do 1950 r. usiłując dowiedzieć się, gdzie zniknęło złoto warte dziś 46,5 mln. dolarów i gotówka przekraczająca 12 mln. dolarów.

Skarb z kopalni Kaisedora

był tak nieprawdopodobny, że na miejsce przyjechał naczelny dowódca aliantów - generał Dwight Eisenhower. Towarzyszył mu, odpowiedzialny później za strażenie niemieckich skarbów, generał George Patton.

Ten ostatni był tak skrupulatny w wypełnianiu swej roli, że oznajmił dziennikarzom: „Nie chcę by ktoś, kiedyś powiedział, że ten sukinyś Patton, coś ukradł.” I choć Patton bezlitośnie karał wszystkich żołnierzy, którzy chcieli coś uszczknąć z ogromnego bogactwa, to jednak nie upilnował wszystkich. Sami Amerykanie po latach uznali, że znanych jest im co najmniej 300 przypadków kradzieży niemieckich dzieł sztuki. Zaś ilości pieniędzy i złota wywiezionych nielegalnie z Niemiec jako łupy wojenne nikt nie ujawnił. Historycy amerykańscy sądzą, że całkiem możliwe było ukradzenie wielu dzieł sztuki spod nosa generała Pattona, bowiem kompletnie nie znał się on na tej dziedzinie, a misję powierzono mu z powodu jego nieskazitelnej uczciwości. Sam Patton napisał we wspomnieniach, że w kopalni



Kaisedora zobaczył mnóstwo obrazów, które nie były więcej warte niż kilka dolarów za sztukę. - „Przypominały mi te, co zazwyczaj wiszą w barach w Ameryce” – zwierzał się generał. Tymczasem w kopalni zgromadzono najcenniejsze światowe arcydzieła, między innymi popiersie królowej Nefretete sprzed 3 tysięcy lat, obrazy Tycjana, Rafaela, Renoir, Rembrandta... Być może generał skrupulatnie pilnował złota, ale nie dostrzegał, że jego żołnierze chowają pod koszulami przedmioty będące dziełami sztuki!

Skandal wybuchł w 1990 r.

kiedy to spadkobiercy weterana armii amerykańskiej – Joe Meadora wystawili na sprzedaż manuskrypt „Nowego testamentu” z IX wieku, pochodzący z kościoła w Quedlinburgu, w byłym NRD. W publikacji „Ukryte skarby Trzeciej Rzeszy” napisano, że Meador dokonał jednej z największych kradzieży XX wieku i usiłowano dociec, dlaczego była możliwa. Joe Meador był nauczycielem plastyki, który nie pracował w swoim zawodzie, ale zmuszony był sprzedawać gwoździe w należącym do rodziny sklepie. Podczas wojny był porucznikiem armii amerykańskiej i brał udział w inwentaryzacji skarbów z kopalni Kaisedora. Osoby, które podpisały się pod dokumentami inwentaryzacyjnymi stwierdziły, że nic nie zginęło. Ale któryś z nich zawiadomił przełożonych, iż kilka przedmiotów zniknęło. Przeprowadzono śledztwo, jednak nikomu kradzieży nie udowodniono. Ukryte przez Meadora dzieła sztuki jemu tylko znaną drogą dotarły do USA. Łupy Meadora oprócz wspomnianego manuskryptu (starszego od „Biblii Guttenberga”), wyceńnianego na ponad 30 mln. dolarów) zawierały rękopis z 1513 r. w bogato zdobionej oprawie ze srebra i złota, ponadto relikwiarz z metali szlachetnych i drogich kamieni z IX wieku, wota złote w kształcie serca, złote i srebrne krucyfiksy. Był tam też XII wieczny grzebień króla Henryka I, oraz uznany za najcenniejszy, kryształowy flakon w kształcie głowy biskupa, mający zawierać pukiel włosów Matki Boskiej. Joe Meador po prostu ograbił z najcenniejszych zabytków średniowieczny kościół w Quedlinburgu. I być może nigdy by to nie wyszło na jaw, gdyby spadkobiercy nie chcieli spieniężyć majątku zmarłego.

Na jednej z aukcji

spadkobiercy Meadora wystawili kilka innych przedmiotów. Wystarczyło, żeby jeden z historyków sztuki głośno zastanowił się, skąd wzięły się tak bezcenne dzieła sztuki w niewielkim miasteczku Whitewright w Teksasie, w ręku niezamożnego człowieka, aby zleceniodawcami zainteresowała się



Generałowie Bradley, Patton i Eisenhower oglądają odnalezione dzieła sztuki.

policja podatkowa i FBI. Efekt tego zainteresowania był taki, że po wielu pertraktacjach z prawnikami spadkobiercy rzekli się wszelkich praw własności do wszelkich przedmiotów wywiezionych z Niemiec przez Meadora, w zamian za „odstępne” w kwocie 2,5 mln. dolarów. Rząd niemiecki odstępne zapłacił i skarby Quedlinburga wróciły do Niemiec, natomiast Meadora amerykańskie media okrzykały najbardziej perfidnym złodziejem XX wieku. Wydawnictwo Readers Digest, powołując się na wypowiedź najbliższego przyjaciela Joe Meadora, napisało, że złodziejem przez lata targaty sprzeczne namiętności - poczucie wielkiej winy i radość z obcowania z bezcennymi dziełami sztuki.

Czy Joe Meador był jedynym, który okradł wielkich złodziei z III Rzeszy? Z całą pewnością - nie! Takich jak on było wielu. Podobnie jak w armii Hitlera istniały specjalne oddziały Bildende Kunst, których zadaniem było grabienie dzieł sztuki w podbitych krajach, tak też np. w Armii Czerwonej były ich odpowiedniki, które wywoziły w głąb Rosji to, co się dało. Zawsze istnieli ludzie gromadzący dzieła sztuki jako łupy wojenne, ale to już temat na zupełnie inną historię...

Jolanta Nitkowska - Węglarz



Miejsce ukrycia skrzyni.

Skrytka, prawdopodobnie Wehrwolfu, wymurowana w załomie skał.

kierunku zachodnim od miejsca oznakowanego punktem wysokościowym.

Ukrycie musiało nastąpić w ostatnich dniach wojny, gdyż skrzynia przysypana była zaledwie półmetrową warstwą ziemi.

Zdjęcie nr 4 przedstawia skrytkę wykonaną prawdopodobnie przez Wehrwolf. Wykorzystany został załom skalny, w którym wykonano strop murując kamienie ułożone na stalowych płytach; wykonano również stalowe drzwi na zawiasach - także obmurowane kamieniami. Do tego celu użyto, obok cementu, kruszywa skalnego; powstała w ten sposób skrytka była kompletnie niezauważalna nawet dla osoby stojącej bezpośrednio na jej stropie!

Czekamy na dalsze informacje.

Redakcja





"Przydomowy" sposób chowania majątku.

Blacha, w którą opakowana była skrzynia.



Skrytki

Redakcja „Exploratora” dziękuje tym wszystkim Czytelnikom, którzy w dobrej wierze przekazują dziennikarzom czasopisma informacje na tematy poruszone na jego łamach. Wszystkie uzyskane w ten sposób tropy są, lub będą w najbliższym czasie gruntownie zbadane i zweryfikowane. Natomiast informacja o tym, kto jest ich autorem, nigdy bez zgody osoby zainteresowanej nie wyjdzie poza próg redakcji.

To właśnie dzięki informacjom od Państwa możemy przedstawić na naszych łamach trzy interesujące sposoby chowania przez Niemców rzeczy wartościowych pod koniec II wojny światowej.

Zdjęcie nr 1 prezentuje typową skrytkę „przydomową”. Rzeczy wartościowe umieszczone zostały w metalowych bańkach po mleku i ukryte w zwałowisku kamieni w miejscu dosyć charakterystycznym.

Zdjęcia nr 2 i 3 przedstawiają skrytkę wykonaną przez niemiecką administrację.

Skrzynia z dokumentami została zabezpieczona blachą ocynkowaną i umieszczona w typowej odległości w



ZŁOTY STOK

pelen skarbów

Jak z prawie każdym terenem górniczym o długich tradycjach, znajdującym się na Dolnym Śląsku, także z kopalniami Złotego Stoku związane są opowieści o ukrytych w nich skarbach III Rzeszy...

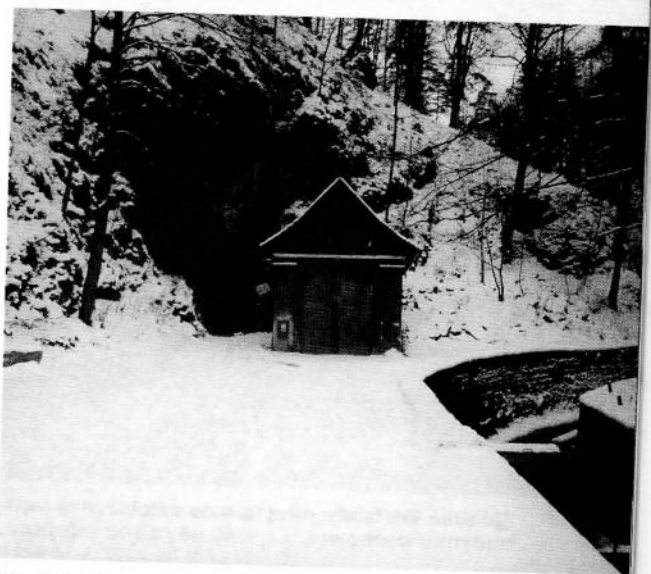
Sztolnia Emanuela

Pierwsze prace górnicze na terenach kopalń w Złotym Stoku miały miejsce już w ubiegłym tysiącleciu. Ówczesne budowle górnicze i urządzenia z nimi związane były usytuowane w Wąwozie Kłodzkim, leżącym między górą Haniak i Krowią. Wody spływające z pobliskich zboczy i odległej Białej Góry zasilają rwący strumień spływający tym wąwozem. Przy nim właśnie ustawiane były urządzenia do kruszenia, oddzielania od skały płonej i płukania wydobytej rudy arsenowej. Najstarsze sztolnie i szyby powstały w tym rejonie już w XIII wieku. Kilka budynków i urządzeń górniczych usytuowano przy głównym szybie kopalni, szybie „Jan”, do którego prowadziły sztolnie Pola Zachodniego. Jego wylot, na poziomie 478 m. n.p.m., znajdował się w budynku maszynowni windy szybu. Na początku XVI wieku rozpoczęto roboty górnicze przy drążeniu najdłuższej sztolni Pola Zachodniego. Koncesję na całość robót przy tej sztolni otrzymał klasztor w Kamieńcu Żąbkowickim. Prace, rozpoczęte w 1506 r., trwały przez kilka lat, w czasie których wydrążono dwa odcinki. Jeden z nich - o długości 525 m - prowadził od szybu „Jan” w kierunku północnym, i został zakończony wylotem przy zabudowaniach w Złotym Stoku. Jeszcze do niedawna za budynkiem przy ul. Górniczej był on widoczny - z wylotu wypływał strumień czystej wody w którym pluskały się pstrągi... Drugi odcinek - prowadzący w kierunku Białej Góry - miał długość około 300 m i prowadził do złóż na „Polu Białej Góry”. Sztolnia ta spełniała rolę odwadniająca i wentylacyjno - komunikacyjną. Roboty przy ich drążeniu zakończono w marcu 1511 r. i nazwano je, łącząc w całość, sztolnią „Emanuela”.

Idąc od miasta w stronę Wąwozu Kłodzkiego spotykamy po lewej stronie drogi górniczej stalowy właz do głębokiego szybu wentylacyjnego, a dalej, po 300 m, zawałony częściowo szyb ze stalową drabiną o pierwotnej głębokości 35 m, z resztkami zabudowań. Powyżej szybu, w odległości 250 m, znajduje się zamurowane wejście do dużej sztolni transportowej, z której wywożono urobek z szybu Jan, który miał głębokość aż 120 m. Ze względów bezpieczeństwa szyb został zasypany. Pozostawiono jedynie resztki murów zabudowań i filary windy szybu.



Sztolnia Gertrudy - widoczny system instalacji wodnej dla celów przemysłowych Zakładów w Złotym Stoku - obecnie początkowy odcinek muzeum górnictwa złota.



Sztolnia Czarna przy Muzeum Złota - budynek warsztatowy-naprawczy; po prawej stronie - Złoty Potok.

Sztolnia Książęca

Między szczytami Gór Złotych, w dolinie Złotego Jaru, gdzie od tysiącleci płynie strumień Złotego Potoku, od pradawnych wieków prowadzone były prace poszukiwawcze i wydobywcze złota. W najstarszych kopalniach pierwsze prace górnicze prowadzone były metodą wieloszybikową; dopiero w okresie późniejszym drążono chodniki. Wykopy prowadzono bez użycia dokładnych przyrządów pomiarowych, z tego

względu starsze części kopalni posiadają liczne załamania i uskoki. Na początku XV wieku została wykuta sztolnia komunikacyjno - odwadniająca zwana Sztolnią Książęcą, na cześć księcia Bolka II-go, zwanego Starszym.

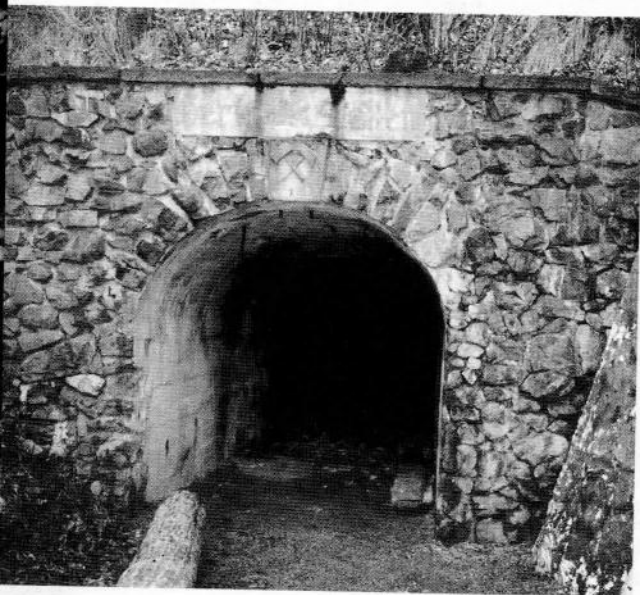
Wejście do sztolni jest usytuowane po prawej stronie koryta Złotego Potoku, w odległości 300 m. od nieczynnych kamieniołomów, w kierunku dawnej Szkoły Leśnej - dzisiejszego pensjonatu „Złoty Jar”. Okratowane wejście do sztolni prowadzi do jedyne go chodnika udostępnionego do indywidualnego zwiedzania przez turystów. Kuta ręcznie w twardej skale sztolnia, o długości 250 m, prowadzi w kierunku południowym, z licznymi załamaniem i uskoki. Jest szeroka na 70-80 cm; ma wyso-

względu na stożkową budowę chodnika, wydrążonego w twardej skale, nie posiada ona prawie żadnej obudowy. Jedyne miejsce, gdzie zastoso- wano belkowanie ścian i stropu, był końcowy odcinek ze stalową bramą wiodącą do szybu kopalni. Obecnie na tym odcinku powstał zawal.

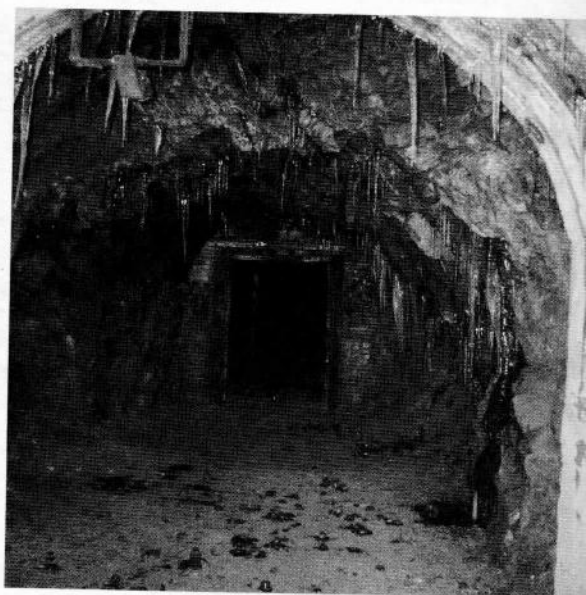
Sztolnia Książęca jest jedynym otwartym i bezpiecznym miejscem do indywidualnego zwie- dzania!

Dolina Złotego Jaru

Był rok 1944 - późna jesień. Na stację kolejową w Reihenstein dotarł pociąg wyladowany dREW-



Sztolnia Gertrudy - wejście do sztolni przy budynku cechowni.



Chodnik Sztolni Gertrudy - wewnętrzne drzwi zaporowe cechowni.

kość 1,80 - 2,30 cm; w początkowym okresie posiadała deskowanie na belkach drewnianych pod którym spływała woda z kopalni. Kiedy sztolnia straciła znacznie odwadniające, stare, zbutwiałe deski zostały częściowo zasypane kamiennym tłuczniem. Na swym zakończeniu sztolnia została zamurowana na kilka metrów przed stalowymi drzwiami, za którymi znajduje się głęboki na 70 m szyb o wymiarach 2 x 2 m. Dnem szybu biegnie najdłuższy chodnik odwadniający kopalni, odprowadzający wody do sztolni Gertrudy. Szyb ten prowadzi też do góry, gdzie w lesie na zboczu znajduje się jego wylot.

Sztolnia Książęca jest doskonale zachowanym dziełem podziemnych robót górniczych. Ze

nianymi skrzyniami i paczkami. Cały transport został przeladowany z wagonów na samochody ciężarowe i pod osłoną nocy przewieziony drogą w kierunku doliny Złotego Jaru. Samochody ze skrzyniami wjechały do jednej ze sztolni, a wejście wysadzono i dokładnie zamaskowano. Informacje te potwierdzają dwie osoby - mieszkaniec Złotego stoku - Aleksander Kajdak, i mieszkająca w Niemczech Maria Wittch.

Do ewentualnego ukrycia tych ładunków mogło się nadawać kilka sztolni, jakie znajdują się w dolinie Złotego Jaru, na zachodnim zboczu Góry Sołtysiej. Do tych sztolni można było wjechać nawet samochodem, ale są i takie, gdzie można było tylko wejść pieszo.

Sztolnia Czarna, której chodniki biegną w kierunku Czech, ma wlot w dolinie Złotego Jaru, przy budynku dawnej cechowni. Jej chodniki prowadzą do sztolni na wysokości nieczynnego kamieniołomu, po lewej stronie Złotego Potoku. Jeszcze inna sztolnia, za budynkiem Cechowni, biegnąca prostopadłe do granicy z Czechami, ma długość około 600 m i dogodne wejście dla ewentualnego ukrycia skrzyń. Istnieją jeszcze sztolnie powyżej nieczynnego kamieniołomu w dolinie Złotego Jaru, pod Górą Krzyżową. W okolicy pensjonatu „Złoty Jar” są wąskie sztolnie, które mogły pozwolić na wejście z pojedynczym ładunkiem. Niestety - wszystkie te miejsca naraz są praw-

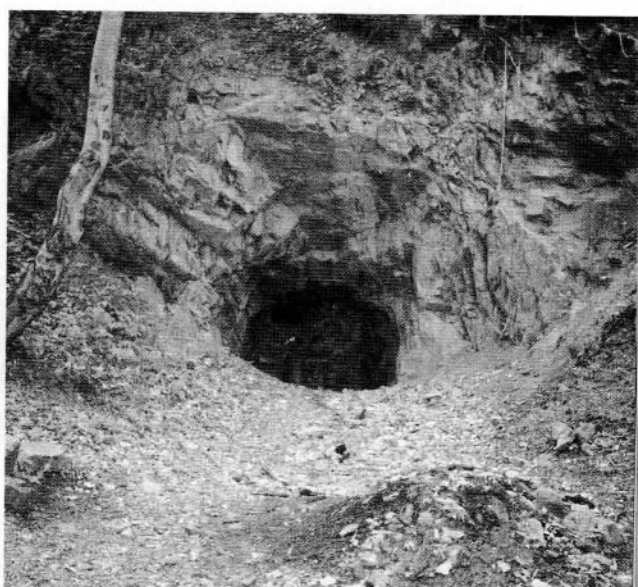
protokołów zaprzysiężonych zeznań, złożonych przed prokuratorami Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich! Nie ma zatem powodu wątpić w ich prawdziwość - można zatem przyjąć, iż rzeczywiście na stację kolejową w Złotym Stoku późną jesienią 1944 roku przyjechał tajemniczy transport. Czy jednak jego zawartość trafiła rzeczywiście akurat do sztolni kopalni złota?

Tak czy owak zapraszamy do zwiedzania doliny Złotego Jaru, a przy okazji do poszukiwania ukrytych skrzyń...

Andrzej Tarach



Szyb ewakuacyjny Sztolni Emanuela w wąwozie kłodzkim.



Wąwóz Kłodzki - zamurowany odcinek sztolni wiodącej do Szybu Jan.

dopodobne - niemal wszystkie nadawały się do ukrycia przywożonych skrzyń! W przekonaniu tym utwierdzać może też fakt, że dawny mieszkaniec Reichenstein - Złotego Stoku, Norbert Schoder próbuje informacje o tym transporcie skrzyń tłumaczyć faktem ukrycia w sztolniach, przez miejscowych kupców, skrzyń z zapasami towarów ze sklepów i magazynów. Według niego ciężarówki które je przewoziły miały nie móc zawrócić i musiały wyjechać z doliny Złotego Jaru inną drogą...

W ten sposób sprawa ukrytych dóbr miałyby stać się legendą.

Jest tylko jeszcze jedna mała drobnostka: informacje Aleksandra Kajdaka pochodzą z

Od redakcji:

Przypominamy Państwu fascynujący świat Złotego Stoku nie tylko dlatego, iż jest to interesujące miejsce, warte zwiedzenia i pooddychania atmosferą prawdziwego poszukiwania złota... Także – ze względu na związane z nim tajemnice ostatniej wojny i ukrywane w tamtym okresie dobra przeróżnej proweniencji.

Obawiamy się jednak, iż poszukiwania prowadzone na terenach kopalnianych mogą nie dać oczekiwanego rezultatu. Oto bowiem podczas prac historycznych natknęliśmy się na dokument, który mówi o jeńcach pracujących, pod koniec 1944 i na początku 1945 roku, przy budowie podziemnych bunkrów w okolicznych lasach. Miało się to odbywać w odległości od około dwóch do sześciu kilometrów od centrum Złotego Stoku...